

BEECHER STOWE

CHATA WUJA TOMA



55

Haueee, na gniardus

Lilli Bransoeue

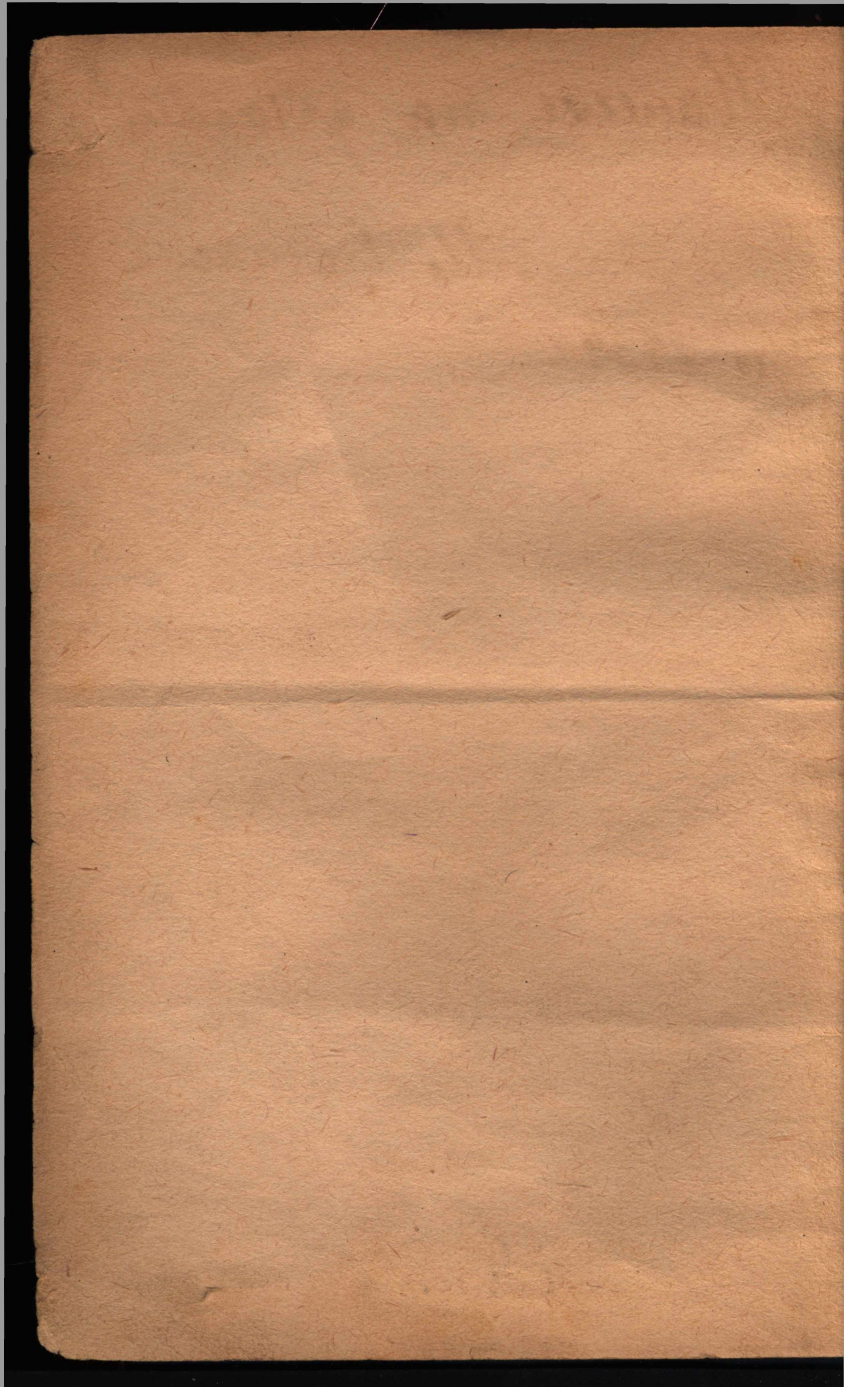
24/XII 1939 z.

Kochanij Halce,

na gniardus —

Hauee

st. erineice 24/XII 1944 z.



CHATA WUJA TOMA

H. Stachowiczówna

152

H. BEECHER-STOWE

CHATA WUJA TOMA

Z ILUSTRACJAMI

H. Wilkaiński

WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. PRZEWORSKIEGO

Zakłady Graficzne „FENIKS”, Warszawa

915

Prolog.

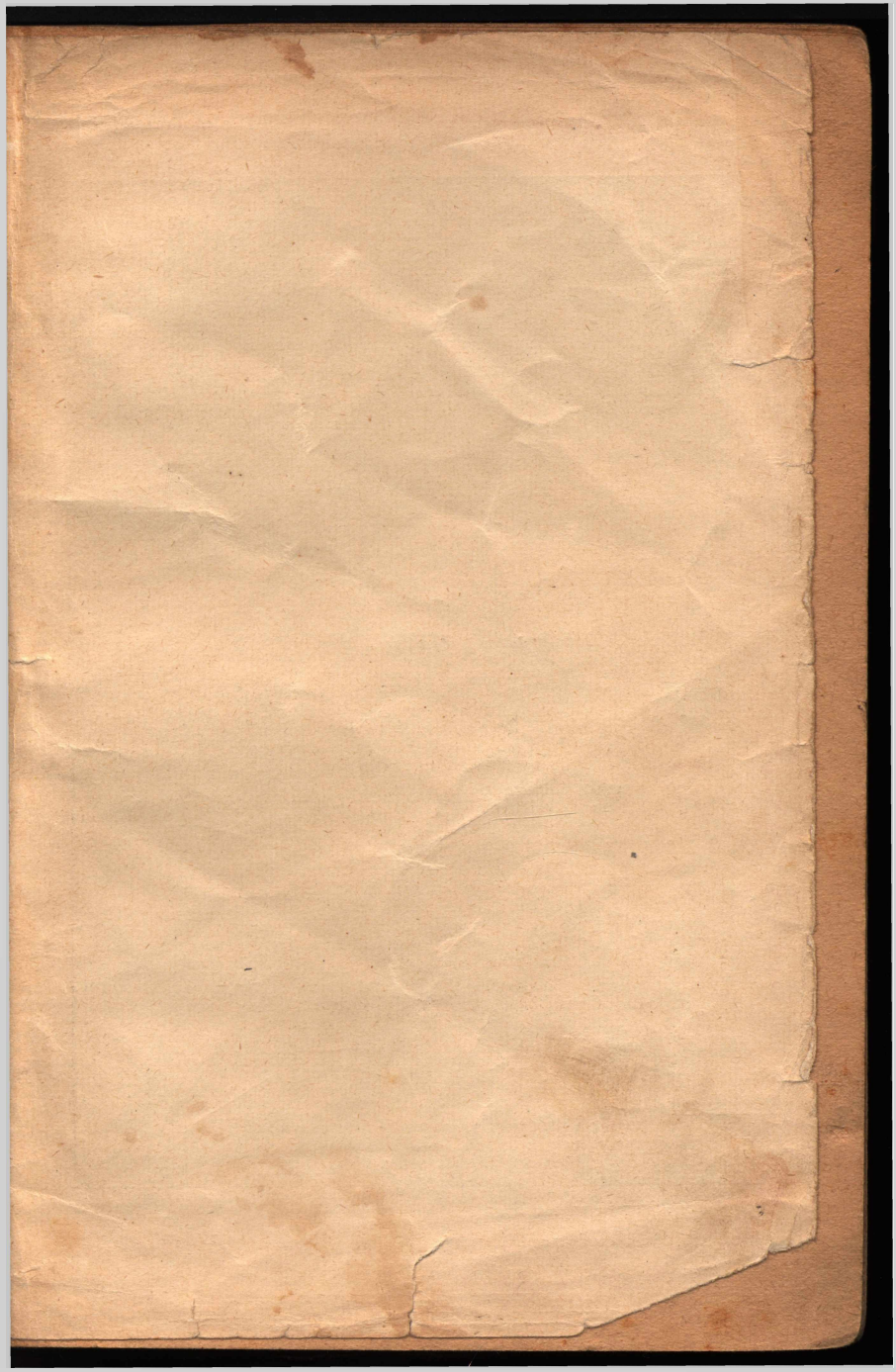
W pierwszej połowie zeszłego stulecia, kiedy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej niewolnictwo było jeszcze w pełnym rozkwicie, żył w stanie Kentucky właściciel obszernych posiadłości, p. Shelby, człowiek miły i dobry. Liczni niewolnicy, z których jedni zajmowali się robotami polnemi, drudzy pełnili służbę domową, uwijali się we dworze i w obejściu. Cieszyli się dobrem i łagodnem obejściem ze strony pana, co w stanie Kentucky częściej się wówczas zdarzało i byli mu duszą i ciałem oddani. Pan Shelby, nie umiał, niestety, utrzymać swoich różnorodnych interesów w należyтым porządku, tak, że jego położenie majątkowe pogarszało się z roku na rok, a on sam coraz częściej musiał zaciągać pożyczki. Gdyby ten zacny, ale słabego charakteru obywatel wtajemniczył swoją dobrą i rozumną żonę w przykre położenie, znalazłaby zapewne środki dla usunięcia trosk i kło-

potów. Cóż, kiedy mąż starannie je przed nią ukrywał. Pani Shelby, nie domyślając się smutnej prawdy, oddawała się z całą troskliwością wychowaniu syna Alwina, który był żywym portretem swego ojca.

W tym samym czasie, kiedy rozpoczynamy nasze opowiadanie, do majątku p. Shelby przybył handlarz niewolników, niejaki Haley, z żądaniem zapłacenia podstępnie przezeń nabytego weksłu. Nie chodziło mu tyle o gotówkę, ile o kupno niewolnika Toma, który od wielu lat należał do pana Shelby, cieszył się jego zaufaniem, a dla swej uczciwości i zacnego charakteru nazywany był przez wszystkich wujem Tomem; pod tą nazwą znano go i ceniono w całej okolicy.

W wykwintnie urządzonej sali jadalnej siedzieli p. Shelby i Haley i potajemnie traktowali o sprzedaż biednego Toma.

Mówili prawie szeptem; nie domyślali się nawet, że Eliza Harris, pokojowa pani Shelby, podsłuchiwała całą rozmowę, ukryta za portjerą.





ROZDZIAŁ I

Dom zbudowany z okrągłaków, w którym wuj Tom mieszkał z żoną swoją Chloe i ze swojemi dziećmi o wełnistych głowach, stał w pobliżu dworu, jak nazywała służba dom, zamieszkany przez państwo Shelby. Ściany chaty były pokryte pięknymi wijącemi się roślinami, a przed domkiem znajdował się mały ogródek, w którym ciocia Chloe hodowała różne warzywa i jagody, a pstre kwiaty rozwijały się w całej swej krasie. W chacie ciocia Chloe, najlepsza kucharka z całej okolicy, zajęta była gospodarstwem. Po wydaniu kolacji we dworze, udała się, jak zwykle do chaty, aby swemu „staremu“ ugotować dobrą wieczerzę. Jej czarna, połyskująca twarz pod jaszkrawą, kwiecistą chustką promieniała dobrotliwem zadowoleniem z samej siebie. Była dumna ze swego kunsztu kulinarnego i z litością spoglądała na słabe usiłowania innych śmiertelniczek. Bo która na 20 mil wokół umiała lepiej od niej piec niezliczone rodzaje herbat-

ników? I kto lepiej przyrządzał pasztety, niż cioc-ka Chloe? Można się było śmiać do rozpuku, patrząc, jak inne kuchaki daremnie się starały dorównać jej w tym kierunku. Niska, otyła kobieta trzęsła się od śmiechu, kiedy tylko wspomniała o tem. Cieszył ją zawsze niezmiernie widok kufrów i waliz przed domem, bo świadczyło to, że przybyli goście, a zatem była sposobność do popisania się swoim talentem.

Jedna część izby była staranniej utrzymana i stanowiła coś w rodzaju gościnnego pokoju. Śnieżnej białości łóżko, pokryte kołdrą, a przed niem duży dywan, nadawały izbie pozór zamożności, z czego Chloe była wielce dumną. Drugie, skromniejsze łóżko stało w drugim kącie; na ścianie nad kominem wisiało kilka kolorowanych litografji, a przed kominkiem stał stolik o nieco słabych nóżkach. Dwóch dobrze odżywionych chłopców z wiewłosemi bawiło się na ziemi i pomagało, głośno się śmiejąc, małej siostrzyczce stawiać pierwsze kroki. Przy stole siedział wuj Tom i młody Alwin Shelby, trzynastoletni przystojny chłopiec, który uczył Toma pisać. Wuj Tom, najlepszy robotnik p. Shelby, był wysokim, silnym, krępy męczyzną i sprawiał bardzo ujmujące wrażenie. Na lśniącej, czarnej twarzy malowała się dobroć w połączeniu z

godnością. Siedział teraz nachylony nad tabliczką, na której pracowicie kreślił jakieś litery.

— Ależ, wuju, Tomie! — zawołał panicz, roz-
bawiony mozolnemi usiłowaniami Toma — nie tak,
nie tak, to będzie q, nie p!

I szybko napisał cały rząd liter na tabliczce, żeby uwydatnić różnicę między niemi.

Tom spojrział z podziwem na młodego nauczyciela i zabrał się na nowo do pracy. Ciocia Chloe, która warzyła i smażyła w rondlach i tyglach, obejrzawszy się na nich, powiedziała:

— Ach, jacy mądrzy są ci biali ludzie! Wszystko im łatwo przychodzi! Jak to pięknie nasz panicz czyta i pisze!

— Dobrze, dobrze, ciociu Chloe. Czy wiesz, że mi się strasznie chce jeść? Czy placek jeszcze nie gotów? — zapytał Alwin.

— Zaraz, panie Alwinie! Już się pięknie rumieni. Ach, niech mi kto upiecze tak ciasto, jak ja! Jakże to wyglądał placek, który upiekła Sally dla p. Shelby? Z jednej strony ciasto zupełnie oklapło — wyglądało jak stary trzewik.

Mówiąc te słowa, zdjęła pokrywę z brytwanny i cieszyła się widokiem swego arcydzieła.

— A teraz panie Alwinie, już wszystko podaję razem; kielbasę i omlety — niech-no panicz się-

dzie przy moim starym, a książki odłóżcie już na bok.

— Nie chciałem jeść wieszery w domu, tutaj mi lepiej smakuje — mówił jedząc z apetytem, Alwin; zabrał się potem do ciasta i dodał, mając pełne usta:

— Wiesz, ciociu Chloe, Tom Lincon utrzymuje, że jego Jenny lepiej od ciebie gotuje.

— Albo ci Linconowie znają się na kuchni? Poczciwi ludziska, ale o takiej pańskości, jak nasze państwo, pojęcia nie mają. Doprawdy, słuchać nawet nie chcę o Linconach!

— Ale, ciociu Chloe, sama przecież powiedziałaś, że Jenny jest wcale niezłą kucharką — zauważył Alwin.

— A no, tak, tak! Gospodarskie obiady potrafi jeszcze przyrządzać, ale na wykwintnej kuchni nie zna się wcale. Umie piec chleb i gotować kartofle, ale strzeż Boże od jej pasztetów i placków kukurydzo-
wych! Na weselu miss Marji pokazała mi Jenny pasztety, bo jesteśmy przyjaciółkami, ale co to za pasztety! Nie mówmy już o nich, nie warto! Tak, tak, panie Alwinie, panicz nawet nie myśli o tem, jak mu dobrze na świecie i jakie to szczęście pochodzić z dobrej rodziny i otrzymać dobre wychowanie!

— Pod względem puddingów i pasztetów uwa-

żam się rzeczywiście za bardzo szczęśliwego — powiedział Alwin, osłaniając rękoma swój pełny talerz. — Chwałę się z tego zawsze przed Tomem Linconem.

Ciocia Chloe nie posiadała się z radości, że panicz jest taki wesoły i dowcipny; głośny jej śmiech rozległ się po całej chacie, a duże łzy spływały po okrągłych policzkach.

— Jak jestem uczciwa kobieta, — zawołała ciocia Chloe, — panicz mógłby nawet rozśmieszyć chrabąszcza!

— W przyszłym tygodniu sprowadzę z sobą na obiad Toma Lincona, ale wtedy musisz, ciociu, wystąpić już co się zowie i dać nam doskonały obiad.

— Niech-no panicz tylko sprowadzi, już ja pokażę, co umiem! Otóż, panie Alwinie, pamięta pan jeszcze ten duży pasztet z kur, który przyrządziłam na cześć generała Knoxa? Brał aż trzy razy — a to jest wielki pan, pochodzi z najlepszej rodziny i wie, co smaczne.

Alwin, najadłszy się do syta, położył nareszcie nóż i widelec, gdyż więcej już nie mógł jeść. Przywołał do siebie małych murzynków, synów Toma, aby ich obdzielić tem, co pozostało na jego talerzu, poczem zasiadł z Tomem przy kominku. Tymczasem Chloe karmiła najmłodszą córeczkę, a Mojżesz i Piotr tarzali się po ziemi lub też swawolili pod stołem.

ROZDZIAŁ II

Kiedy wuj Tom z rodziną i panem Alwinem spokojnie przepędzał wieczór w swojej chacie, nie przeczuwając nieszczęścia, które spotkać go miało, p. Shelby podpisywał umowę sprzedaży Toma i wręczał ją handlarzowi. Tom jednym pociągnięciem pióra został własnością okrutnego Haleya.

— A więc rzecz załatwiona, — powiedział pan Shelby poważnym tonem, — ale, panie Haley, liczę na to, że dotrzyma pan słowa i postara się o dobrą służbę dla pocziwego Toma.

— O ile okoliczności na to pozwolą, — odpowiedział chytrze handlarz — nic więcej przyrzec nie mogę.

Było już późno; państwo Shelby chcieli się udać na spoczynek i poszli do swojej sypialni. Pani Shelby pozwoliła Elizie położyć się wcześniej, ponieważ spostrzegła, że młoda kobieta była bardzo blada i roz-targniona; wołała rozebrać się sama bez jej pomo-

cy. Rozplatała właśnie swoje piękne włosy, a pan Shelby, siedząc w fotelu, przeglądał listy przyniesione z miasteczka.

— Arturze, kto to był ten pan, z którym ja-
dłeś dziś wieczerzę? Człowiek ten wygląda na han-
dlarza niewolników; bardzo mi się nie podobał.

Shelby spuścił oczy i odpowiedział niepewnym
głosem:

— Skądże ci przyszła podobna myśl do głowy?
Jest to niejaki Haley, z którym miałem pewne rachun-
ki do uregulowania.

— Mówiono mi, że to handlarz niewolników —
powtórzyła pani Shelby.

— Teraz muszę jej wszystko wyznać! — po-
myślał pan Shelby i odpowiedział z udanym spokojem:

— W biedzie każdy interes jest dobry. Emiljo
Nie mogę dłużej ukrywać przed tobą, że moje intere-
sa są w takim stanie, że tylko sprzedaż kilku z na-
szych niewolników ocalić nas może.

— Ale nie temu wstrętnemu człowiekowi, Ar-
turze! Nie mówisz tego na serjo!

— Niestety, tak być musi! Wyobraź sobie, że
Toma już sprzedałem.

— Nie może być! sprzedałeś naszego pocziwe-
go Toma. Nie, nie, nie uwierzę w to nigdy. Dlaczego
sprzedałeś naszego ulubieńca?

— Bo dają za niego największą cenę. Haley dawał i za Elizę znaczną sumę pieniędzy, ale odmówiłem mu stanowczo przez wzgląd na ciebie. Sądzę, że mi za to będziesz wdzięczną.

— Ach, niegodziwiec! Pojąć tego nie mogę... Arturze jaka to straszna niespodzianka! Biedni ludzie!... Zaczny Tom- Przecież z radością oddałby życie dla ciebie! Serdecznie zawsze pragnęłam być dobrą i wyrozumiałą panią dla biednych murzynów, pragnęłam w ich serca wpoić poczucie obowiązku; nauczyłam ich, co winni są sobie wzajem małżonkowie i jak rodzice dbać mają o swe dzieci. A teraz my sami pozbawiamy żonę i dzieci najlepszego ojca — jedynie dla marnych pieniędzy!

— żałuję bardzo, że się tak stało — odpowiedział p. Shelby — ale zmienić tego nie można. Haley nabył podstępny sposóbem weksel, płatny właśnie teraz, żądał, abym mu odstąpił Toma: byłem w jego ręku, nie miałem innego wyjścia... Mogło przyjść do sprzedaży wszystkich naszych niewolników.

Biedna pani Shelby pobladła.

— Ach, jaka jestem niemądra! — westchnęła. — Sądziłam, że w naszym małym kółku, przynajmniej na naszej fermie, potrafię wynagrodzić krzywdy, wyrządzane przez nasze niesprawiedliwe prawa. Pragnęłam dobrobytu i szczęścia dla naszych murzynów...

Od dzieciństwa nienawidzę niewolnictwa, panią niewolników nigdy być nie chciałam...

— A jednak nawet między duchownymi znajdują się stronnicy niewolnictwa, — rzekł pan Shelby.

— Ci księża nie są prawdziwymi sługami Boga, inaczej nauczaliby, że jesteśmy wszyscy, biali i czarni, dziećmi jednego Boga. Czy moje klejnoty i mój kosztowny zegarek nie wystarczyłyby na odkupienie Toma?

— Nadaremnie! Haley jest nieubłagany, ma akt sprzedaży w ręku. Wiesz, jak się przedstawia sprawa: pogódź się z koniecznością. Zechciej zrozumieć, że wpadłszy w ręce Haleya, możemy się uważać za szczęśliwych, jeśli tak tanim kosztem uwolnimy się od niego.

— Czy jest taki okrutny?

— Jeśli chodzi o interes, nie ma względu na nikogo i na nic; chciwy jest bezdennie. Przybędzie jutro, żeby zabrać swoją własność. Wyjadę konno wczesnym rankiem, bo i mnie boli serce; nie chcę być przy rozstaniu. Wyjedź i ty w sąsiedztwo.

— Nie. Arturze, jak sobie chcesz, ja zostanę w domu, aby przyjść z pomocą nieszczęśliwym! Niech im Bóg pomoże w nieszczęściu! — odpowiedziała pani Shelby, głęboko wzruszona.

Tymczasem Eliza Harris wymknęła się wiecz-

rem z domu, pobiegła do chaty wuja Toma i ostrożnie zapukała w okienko; chociaż już było po północy, wuj Tom i ciotka Chloe jeszcze nie spali. Pod wrażeniem opisanego w poprzednim rozdziale zebrania, sen długo nie kleił ich powiek.

Ciotka Chloe wyskoczyła z łóżka, zarzuciła suknię na siebie i uchyliła zasłonę okna.

— Mój Boże, to Eliza. Prędko, stary, wstawaj! Ach, mój Boże, żeby tylko nie jakie nieszczęście.

Ciotka Chloe otworzyła prędko drzwi, ale cofnęła się przerażona, spojrzawszy na twarz Elizy, na której malowała się straszliwa rozpacz i trwoga.

— Co ci się stało, moja ty biedaczko? Czy nie jesteś chora? — wyjąkała ciotka Chloe.

— Tom... — zawołała Eliza. — Tom został sprzedany.

— Sprzedany?! Nasz pan sprzedał Toma?

— Tak, sprzedany! Słyszałam sama pod drzwiami, jak o tem mówił pan z naszą panią. Jutro rano handlarz ma przybyć po ciebie, Tomie...

— Miłosierny Boże! — zawołała ciotka Chloe — Czy to prawda? Co zawinił Tom, że go pan sprzedał?

— Uczynił to z biedy, bo musiał; nasza pani prosiła i błagała, ale daremnie. Pan jest w takim położeniu, że inaczej radzić sobie nie może.

Biedny Tom upadł na krzesło i zakrył sobie twarz

rękami.

— Prędko, stary, prędko! Uciekaj — zawołała ciotka Chloe, łkając. — Czy chcesz czekać, aż cię gdzie zawloką daleko i zamęczą na śmierć? Spakuję ci zaraz rzeczy.

Tom spojrział na nią ze smutkiem i ze łzami w oczach odpowiedział:

— Nie, nie, ja zostanę tutaj. Czy nie słyszałaś, że pan Shelby nie miał innego środka? Wolę być sprzedany, kiedy już pan tak postanowił. O tobie, moja pocziwa Chloe, i o naszych dzieciach nasza dobra pani będzie pamiętać.

Łkając, odwrócił się i obfite łzy popłynęły po jego czarnych policzkach.

Rzuciwszy jeszcze jedno smutne, pożegnalne spojrzenie na nieszczęśliwych starców, Eliza śpiesznie opuściła chatę.

ROZDZIAŁ III

Zbliżała się godzina rozstania. Ranek był dżdżysty i posępny. Ciotka Chloe prasowała Tomowi białą bieliznę. Robota szła jej niesporo, bo nieszczęśliwa kobieta co chwila zalewała się gorącymi łzami. Tom siedział milczący, zamknięty w sobie, na kolanach miał rozłożony Nowy Testament. W zamyśleniu spoglądał na łóżka, na których smacznie jeszcze spały jego chłopaki.

— A więc to ostatni dzień w domu! Już niedługo będę widział moje dzieci! — westchnął Tom, a ciotka Chloe wybuchnęła gorzkim płaczem.

— Ach, Boże! Nie mogę o tem myśleć. Może nawet nie będę wiedzieć dokąd cię zawiozą!... Jak ci pójdzie ciężka praca na fermie? Napewno będą się z tobą źle obchodzić i zamęczą na śmierć.

— Jesteśmy pod Bożą opieką tu i wszędzie —

odpowiedział Tom ze łzami w oczach. — Dziękuję Bogu, że pan sprzedął tylko mnie samego, a ty z dziećmi zostaniesz pod opieką pani Shelby; nie zapominaj o tej łasce Bożej.

— Ja tam łaski nie widzę, widzę tylko naszą wielką krzywdę. Czyż nie służyłeś wiernie naszemu panu? Czy nie wynagrodziłeś mu wszystkiego, co dla nas uczynił pilnością i uczciwością swoją? Zasużyłeś na wolność, a nie na surowy los.

— Chloe, moja Chloe, nie wyrzekaj na naszego pana; on był dla nas zawsze łaskawy. Bieda zmusiła go do tego nieszczęsnego kroku.

— Wielka mi pociecha! — odpowiedziała ciotka Chloe. — Ale cóż nam pomoże mówić o tem wszystkim? Siadaj lepiej do ostatniego śniadania w domu i racz się dowoli.

Zasiedli tedy wszyscy do nakrytego stołu; z łózek wygramolili się chłopcy i z apetytem zabrali się do jedzenia.

Ciotka Chloe zarządziła i upiekła najlepszego kurczaka i zrobiła pasztet podług gustu swego męża. Wydobyła wreszcie z ukrycia słoiki z konfiturami, które ukazywały się na stole wuja Toma tylko w wyjątkowych wypadkach.

— Morowe śniadanie, Pietrek! — zawołał Mojżesz.

Mówiąc to złapał kawałek kurczęcia.

— Patrzcie, państwo! — rzekła ciotka Chloe i dała mu klapsa. — Rzuciło się to, jak wilki, na ostatnie śniadanie biednego ojca!

— Chloe! — powstrzymał ją łagodnie Tom.

— Ach, Tomie, ja już sama nie wiem, co robię — zawołała ciotka Chloe, zakrywając sobie twarz fartuchem. Taka jestem zmartwiona, że nie mogę się powstrzymać.

Chłopcy oniemieli i patrzeli to na ojca to na matkę, a dziewczynka złapała matkę za rąbek sukni i głośno załkała.

— No, — rzekła ciotka Chloe, wycierając oczy i biorąc dziecko na kolana — wszystko już gotowe; zjedz cośkolwiek—to mój najlepszy kurczak! Zaczekajcie, chłopcy, dostaniecie również; biedne dzieci, matka was skrzywdziła.

Chłopcy nie dali sobie mówić dwa razy, zabrali się na serjo do jedzenia i dobrze zrobili, gdyż gdyby nie oni śniadanie pozostałoby pewno nietknięte.

— Muszę doprowadzić do porządku twoje ubranie — rzekła ciotka Chloe. — Wiem dobrze, że Haley zabierze ci wszystko. Wiem, że oni to robią. Patrz, kładę ci twoją flanelową koszulę na reumatyzm; pilnuj jej, jak oka w głowie, bo nikt ci takiej nie uszyje; tu masz stare, a tu nowe koszule. Tu ci kła-

de zrobione wczoraj pończochy i kłębek bawełny do cerowania. Boże, Boże, kto ci je będzie cerować?

I ciotka Chloe, pod wpływem nagłego rozczulenia, oparła głowę o kufer i zakała.

— Nikt cię już nie opatrzy w potrzebie, nie zaopiekuje w czasie choroby. Nie mogę się z tym pogodzić, nie mogę, nie mogę...

Chłopcy, zaspokoiwszy głód, również posmutnieli, oczy pozachodziły im łzami i zaczęli myśleć o rychłym a smutnem pożegnaniu z ojcem.

Biedny Tom trzymał najmłodsze swoje dziecko na kolanach i pozwolił mu targać swe włosy.

— Pani idzie! — zawołali nagle chłopcy, i istotnie pani Shelby, blada i przygnębiona, weszła do chaty.

— Tomie, mój wierny, zacny Tomie! — zaczęła mówić, ale łzy stłumiły jej głos i, łkając głośno, zakryła sobie twarz chustką.

Serdeczne współczucie pani koło głęboką boleść nieszczęśliwych ludzi. Pani Shelby wkrótce opanowała wzruszenie.

— Bóg mi świadkiem, — powiedziała — że najgorliwszem mojem staraniem będzie odkupić cię, mój zacny Tomie, skoro to tylko będzie możebne. Nie trać odwagi i miej ufność w Bogu.

W tej chwili Haley otworzył drzwi i wszedł do

izby. Noc zmarnowana na próżnem harcowaniu ogromnie go rozzłościła.

— Dalej, czarna małpo, czyś już gotów? — zawołał, kłaniając się od niechcienia pani Shelby.

Ciotka Chloe, zebrawszy rzeczy Toma do dużej skrzynki, zamknęła ją na klucz. Tom wziął skrzynkę na plecy i posłuszny rozkazowi pana wyszedł z chaty; za nim szła żona i płaczące dzieci.

Przed chatą, koło wozu Haleya, stali wszyscy niewolnicy z fermy, którzy chcieli pożegnać szanowanego dla swej pobożności i przez wszystkich lubianego towarzysza. Chloe stała jak pólżywa, gdy wokół płakano; z oczu jej tryskały błyskawice gniewu i oburzenia, ale wobec handlarza nie chciała uronić ani jednej łzy. Tom wsiadł na wózek, a Haley włożył mu, ku wielkiemu przerażeniu wszystkich, ciężkie kajdany na nogi. Pani Shelby poprosiła Haleya, żeby nie wywoził Toma jak przestępcę. Handlarz poczerwieniał nagle z gniewu.

— Co? Mało jeszcze straciłem przez was? — krzyczał na cały głos. — Pięćset dolarów przepadło mi u was!

— Kłaniajcie się młodemu p. Alwinowi — zawołał Tom z wózka.

Potem Haley smagnął konia biczem, wózek

połoczył się gościńcem i wkrótce znikł z oczu oplakujących Toma murzynów.

Alwin od kilku dni bawił w sąsiedztwie u swego przyjaciela i nie domyślał się nawet strasznego losu, jaki spotkał pocziwego Toma; a p. Shelby wyjechał za interesami do miasta, żeby nie być świadkiem smutnej sceny pożegnania. Sumienie wyrzucało mu, że przez swoją lekkomyślność i nieopatrność wtrącił w nieszczęście najwierniejszego swego sługę.

Wóz szybko pomykał gościńcem, na którym podnosiły się tumany kurzu. Kiedy ujechali już z milę drogi, Haley zatrzymał się przed kuźnią, wyjął parę kajdan na ręce i poszedł z niemi, by je dać przekuć. Kowal, ujrzawszy Toma przed domem, zawołał przerażony:

— Hola, to Tom pana Shelby! Czyż sprzedali tego wiernego, pocziwego człowieka?

— Tak, ale bądźcie spokojni, Tom został sprzedany i kupiony za dobre pieniądze — odpowiedział opryskliwie Haley.

— Na niego nie trzeba kajdan — mówił kowal, biorąc okowy do ręki. — Jest wierny jak złoto. Szkoda tego człowieka, że się ma zmarnować na waszych plantacjach, na południu. Powiadają, że u was ludzie mrą przy ciężkiej pracy w upał, jak muchy!

— Prawda, wielu z nich umiera, to też pokup

jest zawsze znaczny. Przyrzekłem pamiętać o nim i postarać się dla niego o dobrego pana. Może uda mi się sprzedać go jednemu z panów z arystokracji do posług domowych, to wkrótce zapomni o żonie i dzieciach.

Tom siedział na wozie, myśląc ze smutkiem o swej rodzinie. Wtem rozległ się tętent kopyt koniskich, a Tom, podniósłszy oczy, poznał swego młodego panicza, Alwina, który prędko nadjeżdżał. Chłopiec skoczył z konia na wóz, objął gorąco szyję biednego Toma i płakał i klął na przemiany.

— Gdybym był już dorosłym, nie pozwoliłbym cię sprzedać! To wstyd i grzech! Nikt mi o tem w domu nie powiedział, tylko od Toma Lincona dowiedziałem się całej prawdy. O, narobiłem ja niemało hałasu w domu.

— Ach, mój paniczu kochany! Jakże jestem rad, że mogę jeszcze panicza zobaczyć! Tak mi ciężko było wyjeżdżać bez pożegnania się z paniczem.

Alwin jeszcze raz objął Toma za szyję i przy tej sposobności spostrzegł kajdany. W najwyższem oburzeniu zawołał:

— Co, ten łajdak wiezie cię jak przestępcę?... Ja go zabiję!

— Nie, nie, panie Alwinie, nie irytuj go pan, bo ja będę musiał za to pokutować.

[Alwin był rozumnym chłopcem; zrozumiał, że nie należy drażnić handlarza niewolników. Zwracając się znowu do Toma, powiedział szybko przyciszonym głosem:

— Patrz, Tomie, przywiozłem ci srebrnego dolara, prześwidrowałem w nim dziurkę i przeciągnąłem sznurek; możesz go nosić na szyi. A zapnij się dobrze, żeby ten drab nie spostrzegł, bo ci zabierze ten pieniądz. Ile razy spojrzysz na tego dolara, tyle razy pamiętaj o mnie i bądź pewien, że wkrótce przyjadę po ciebie i zabiorę cię z powrotem.

Tom, wzruszony do głębi serca, pozwolił sobie zawiesić na szyi pamiątkę i z czułością głaskał po głowie zanego chłopca.

— Ach, panie Alwinie! Bądź zawsze dobry i pobożny, jak dotąd. Łatwo ci to przyjdzie, jeśli będziesz słuchać rad twojej, dobrej, jak anioł, matki. A nie rób, jak inni panicze, którym się zdaje, że nie potrzebują słuchać rad swoich matek, skoro tylko dorosną. Przecież panicz nie gniewa się na mnie za to, co mówię?

— Bynajmniej, wuju Tomie — odpowiedział szczerze chłopiec. — Ty mi zawsze dobrze radzisz. Zobaczysz, będę dzielnym człowiekiem, a potem i tobie będzie dobrze.

— Ja to przeczuwam w sercu, że pan będzie

chlubą rodziców i całego kraju. Bóg dał panu tyle rozumu i zdolności; trzeba tylko dobrze z nich korzystać.

Haley stanął we drzwiach z kajdanami w rękach. Alwin zbliżył się do niego i ostrym tonem przemówił:

— Więc to ma być dobre obejście się, jakie pan przyrzekł dla Toma... Muszę to opowiedzieć rodzicom. Czy nie wstydzi się pan prowadzić ludzi na targ jak bydło? Myślałem, że niema człowieka, dla którego nie byłoby to wstrętne.

Haley wybuchnął zwykłym swoim ordynarnym śmiechem:

— Przecież wielcy panowie kupują murzynów, musi więc być ktoś, coby ich dostarczał na targ.

Alwin wskoczył na konia, podniósł śmiało głowę i zawołał:

— Byłem zawsze dumny z mojej ojczyzny, ale teraz mi wstyd, że jestem obywatelem stanu Kentucky. Bywaj zdrów, Tomie! A nie upadnij na duchu!

Tom żałośnie patrzył na odjeżdżającego panicza i przycisnął potajemnie rękę do piersi, tam, gdzie wisiał dolar od zanego chłopca. Haley wrzucił kajdany do wózka i wsiadł.

Zapewnił Toma, że ma uczciwe względem niego

zamiary, że żadnemu ze swych murzynów nie wy-
rządza krzywdy, utrzymywał, że jest bardzo przeciw-
ny wszelkim gwałtownym scenom, a ponieważ Tom
ze swej strony także zaręczył, że nie ma wcale za-
miaru uciekać, coby zresztą w kajdanach na nogach
było zupełnie niemożliwe, obaj jechali już zatem da-
lej w zgodzie — od biedy.

Handlarz obliczał, ileby mógł zarobić na Tomie,
jeśli go od czasu sprzedania dobrze odżywia i do-
brze się z nim obchodził. Przy tej sposobności podzi-
wiał swoją własną wspaniałomyślność i ludzkość, któ-
rą mu przecież nakazywał jego własny interes.

Biedny Tom zajęty był poważniejszymi myślami,
rozpamiętywał słowa Pisma Świętego, które już nie-
zliczonym uciemiężonym i nieszczęśliwym przyniosło
ulgę i pociechę w cierpieniu. Powtarzał sobie w pa-
mięci te słowa: „Nie mamy stałego mieszkania na
tej ziemi, ale szukamy przyszłego. Idę przygotować
wam mieszkanie.“

ROZDZIAŁ IV

Haley popłynął z Tomem w dół Mississippiego. Rzeka była wspaniała, jak morze. Na pokładzie wysoko piętrzyły się bale bawełny z niezliczonych plantacyj. Zdaleka statek wyglądał jak ogromna szara, czworogranna bryła. Przy brzegach szumiały trzciny i szuwary. W powietrzu kołysały się czarne sznury alg i ozłoczone słońcem zachodu zwieszały się żałobnie z wysokich trzcinn, jakby z cyprysów. Okazały statek płynął z szumem do wielkiej targowicy bawełny; zbliżał się do niej szybko. Nawet w takim nieponiu jak Haley, uczciwość Toma i niezmordowana gotowość do usług wzbudziły ufność; niewolnik mógł swobodnie chodzić po statku. Z dłonią nigdy nieuciekającą od pracy, Tom godzinami całemi pomagał często majtkom w razie pilnej roboty i wkrótce zyskał sobie przychylność u całej załogi. A jeśli nie miał nic do roboty, znalazł sobie zawsze pomiędzy

pakami towarów miejscę, z którego nikt go nie ruszył: brał Biblię i zagłębiał się w czytaniu.

Było jeszcze przeszło sto mil angielskich do Nowego Orleanu. Missisipi w tym punkcie ma poziom wód wyższy od naturalnych brzegów i płynie wartko pomiędzy dwiema tamami wysokimi na dwadzieścia stóp. Podróżny obejmuje tu wzrokiem z pokładu statku ogromne połacie łądu. Tom przypatrywał się plantacjom, jakgdyby miał je na mapie, jedną przy drugiej, i oswajał się z widokiem tego życia i tych trudów, które prawdopodobnie czekały i jego samego. Widział niewolników, odrabiających z móżolem, pod okiem surowych dozorców codzienną swą pracę; widział opodal ich biedne chaty, rzucone daleko od przepysznych dworów i parków plantatorów. Ze smutkiem w sercu pomyślał o fermie w Kentucky, ocienionej rozłożystemi bukami, o milej, w gęstwinie pnących się roślin ukrytej chacie i jej ukochanych mieszkańcach. Ale mile te obrazy pierzchły naraz wobec nieprzepartej rzeczywistości. Bagniste zarośla istnego lasu trzcin i bambusów, lasy cyprysów na przemykających się plantacjach, sapanie wreszcie i stęk maszyny parowej statku przywołały rozmarzoną głowę Toma do porządku. Wszystko, co go otaczało, aż nazbyt wyraźnie mówiło mu:

„Szczęśliwe dni przeminęły już na zawsze!”

Gdyby jeszcze w chwilach takiej tęsknoty biedny Tom mógł napisać parę słów do żony i dzieci! Ale i ta pociecha była mu odjętą, bo zaledwie umiał stawiać na papierze niekształtne kulasy i to jeszcze stawiał je z wielkim mozolem. Czytanie szło mu również bardzo powolnie, ale Tom umiał sobie poradzić: kiedy mu panicze, a szczególnie massa Alwin czytali coś z Biblii, znaczył sobie te miejsca, które mu przemawiały do serca i przynosiły pociechę — a były to znaki tajemnicze dla wszystkich, z samych punktów i kresek złożone. Nie trudno mu więc było znaleźć teraz ulubione ustępy: miał je odrazu, nie potrzebując męczyć się nad tekstem, który je rozdzielał.

Tym samym statkiem jechał bogaty właściciel z Nowego Orleanu, nazwiskiem St. Clare. Miał z sobą swoją sześcioletnią córeczkę i jakąś kuzynkę, pod której szczególną opieką zostawało owo maleństwo. Dziecię było niewysłowienie piękne i posiadało cały czarujący wdzięk swego młodziutkiego wieku. Ale więcej jeszcze od pięknych rysów twarzyczki, blond złotych włosków i zachwycającej postaci, uderzał wzrok dziecka: dziwnie marzycielski, a przytem poważny wyraz fiołkowych oczu, i lenionych bujnemi ciemnymi rzęsami, nawet najbarziej przytępioną na wrażenia istotę musiał przykuwać do siebie.

Dziewczątko zwijało się jak chochlik po całym

pokładzie, wśród podskoków i śmiechów nuciło sobie jakieś piosenki, — było jakby w szczęśliwym śnie. Jeśli chciał ją kto zatrzymać, znikła jak lekki obłoczek letni. Ojciec i ciotka szukali jej nieraz wszędzie, nie mogąc znaleźć, ale gdy odkryli małego zbiega, nigdy nie karcili jej żadnem słowem, nigdy nie usłyszało dziecko nic takiego, co by nie szło wprost z serca. I palacz w ognisku, i sternik u koła, każdy się do niej uśmiechał, kiedy się przemykała koło niego. Surowych zazwyczaj obyczajów marynarze łagodnie czuwali nad dzieckiem, aby mu się nic złego nie stało.

Naszemu Tomowi ta jasna świetlana postać wydała się, jakby czemś boskiem, jakby aniołem z Nowego Testamentu. Mała wietrznica podchodziła często do niewolników Haleya i smutek ją ogarniał, westchnienie **wyrywało** się z piersi, na widok kajdan, w które byli okuci. Nieraz przyniosła cukierków, czekolady, orzechów i pomarańczy i obdzieliła nimi biednych murzynów, ciesząc się, że może dla nich uczynić coś dobrego. Tom nie spuszczał jej z oka i wkrótce sztuczkami wszelakiego rodzaju umiał ściągnąć na siebie uwagę żywego dziecka. Wyrzynał jej z pestek wiśni i łupin orzechów małe koszyczki, albo potworne jakieś straszydła, robił śmieszne lalki z bzu, a fajki wycinał z trzciny. Małeństwo z początku przypatrywało się tylko i bojaźliwie trzymało się

zdaleka; ale po krótkim czasie zawiązało serdeczną przyjaźń z wujem Tomem.

— Jakże się panienka nazywa? — ośmielił się zapytać Tom.

— Ewangelina St. Clare — odpowiedziała — ale wszyscy mówią na mnie tylko Ewa. A jak ty się nazywasz?

— Nazywam się Tom; dzieci, tam, w Kentucky, nazywały mnie wujem Tomem.

— To i ja będę cię tak nazywać. Bardzo cię lubię. Dokąd jedziesz, wuju Tomie?

— Nie mogę na to odpowiedzieć, bo nie wiem. Mam być sprzedany, ale nie wiadomo komu.

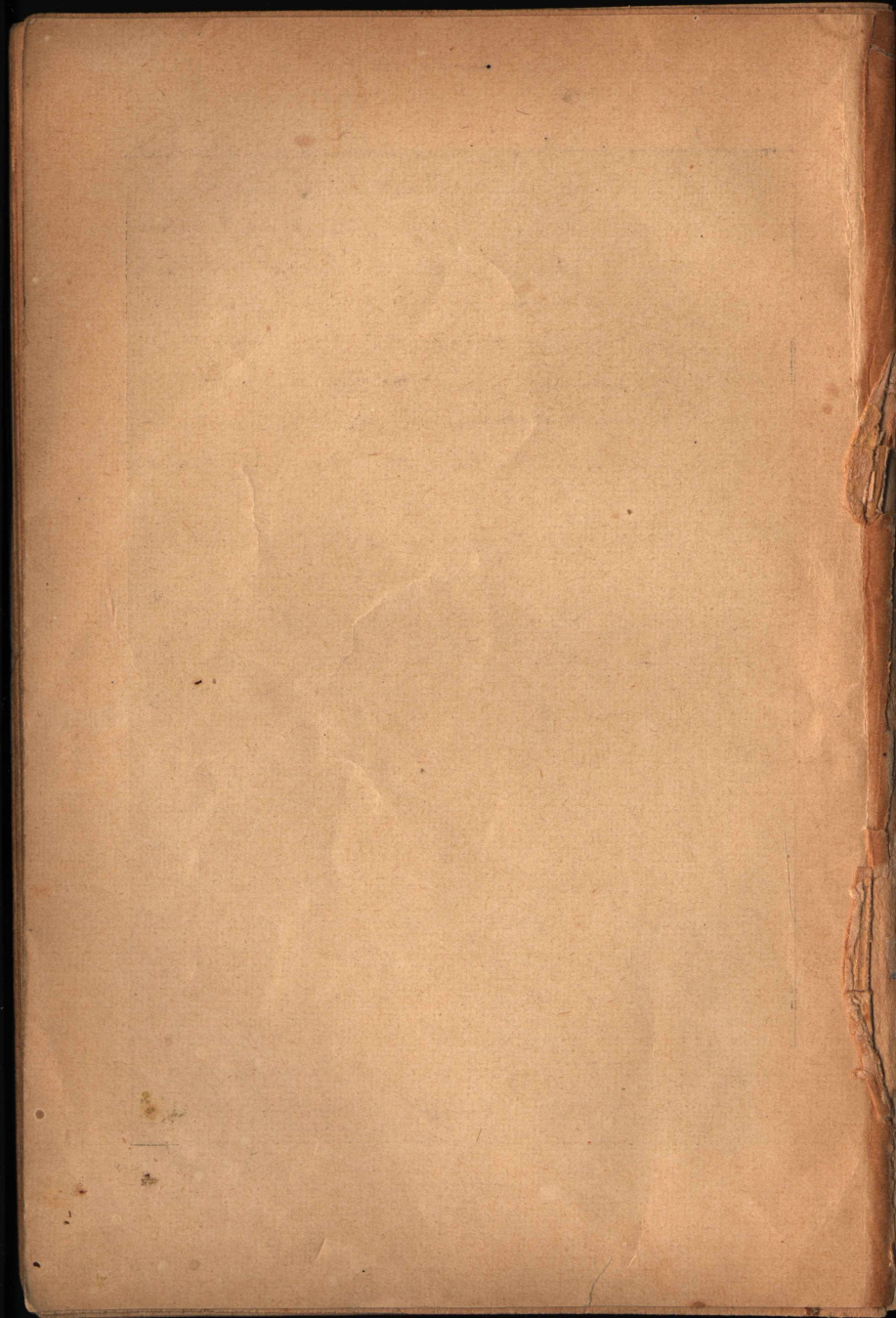
— Ojciec musi cię kupić — będzie ci u nas dobrze. Zaraz dzisiaj go poproszę.

— Dziękuję ci, miss Ewo! — zawołał Tom.

Słowa dziecka zapadły mu głęboko w serce. Tymczasem dziewczątko usłyszało głos ojca i pofrunęło do niego.

Statek zatrzymał się w małej przystani, aby zabrać drzewo i wkrótce puścił się na nowo w drogę. Ewunia, stojąc przy ojcu, wpatrywała się w fale rzeki. Przechylała się przez poręcz, aby lepiej się przyjrzeć rybkom, igrającym z sobą w świetle słonecznem. Musiała się zanadto przechylić, gdyż nagle straciła równowagę i spadła z pokładu, nim spostrze-





żono niebezpieczeństwo. Ojciec rzucił się natychmiast na ratunek, ale go wstrzymano, bo już przed nim Tom, który widział jak dziecko wpada w wodę, wskoczył do rzeki. Po chwili dziewczętko wynurzyło się z wody, Tom ją pochwycił i popłynął do statku, gdzie już z jakie sto ramion wyciągało się do niej. St. Clare zaniósł swą przemokłą, nieprzytomną jedynaczkę do kajuty i wkrótce gorliwym staraniami licznych kobiet, śpieszących z pomocą, udało się Ewangelinkę przywrócić do życia.

Na drugi dzień po tym wypadku statek zbliżył się do celu podróży do miasta bawelny, do Nowego Orleanu. Podróżni zbierali i układali swe rzeczy w kajutach; sam pokład przyprowadzono do porządku i wyszukanej czystości, aby statek mógł się jaknajkorzystniej zaprezentować w porcie. Na niższym pokładzie stał Tom, posyłając z trwogą wzrok w stronę St. Clare'a, Ewy i Haleya, którzy żywo o coś się układali. Podobieństwo między ojcem a córką było uderzające: takie same piękne blond włosy ze złotym połyskiem, wielkie niebieskie oczy, szlachetnie zarysowana głowa, te same rysy — i tylko wyraz oblicza nie przypominał Ewuni. Przy okazałej postaci i harmonji w ruchach wyglądał St. Clare na prawdziwego światowca; wkoło jego warg igrał delikatny, kierowany przez rozagę uśmiech. W tej chwili wsłu-

chiwał się nawpół z pogardą, napół dobrotliwie w nadęte słowa, jakimi Haley zachwalał swój towar. Ewunia jeszcze z bladością w twarzy, po przebytej poprzedniego dnia przygodzie, tuliła się do ojca.

— Wiem, wszystkie chrześcijańskie cnoty mieszczą się w tej czarnej oprawie marocco — odezwał się St. Clare, gdy Haley skończył już swą orację. — No, a teraz dalej, prosto z mostu, jaką pan stawia cenę za ten wzór doskonałości ludzkiej, na ile chce mnie pan oszukać?

— Jeżeli da mi pan za niego tysiąc trzysta dolarów, odzyskam tylko to, co mnie samego kosztuje.

— Biedny! — rzekł St. Clare, drwiąc z Haleya — więc tylko przez łaskawy wzgląd na moją osobę sprzedaje mi pan towar za tę cenę?

— Zdaje mi się, że ta młoda dama chce go mieć koniecznie i dlatego żądam tak mało — odparł Haley.

— No, za jaką ostatecznie cenę niżej kosztu, z chrześcijańskiego tylko miłosierdzia, odda pan niewolnika, aby się jeszcze bardziej przypodobać młodej damie?

— Rzetelnie, cena nie jest za wysoka. Spójrz pan tylko na tę potężną budowę; silny jak koń, a przytem zmyślny i zręczny; poprzedniemu swemu

właścicielowi trzymał w karbach cały folwark, powiadam panu.

— Nie może być nic gorszego, panie kupcze, — odparł St. Clare w szyderczym swym tonie. — Takie właśnie mądre ptaszki są często u diabła na służbie; niepodobna sobie z nimi poradzić. Paręset dolarów musi mi już pan z tego powodu odstąpić; trudno i darmo.

— Ale ten murzyn, powiadam panu, to człowiek, na którym można polegać, najpobożniejszy w świecie; w Kentucky nazywano go kaznodzieją, można mu zaufać i powierzyć cały majątek.

— Do stu diabłów! Mógłbym z niego, jak widzę, zrobić kapelana — wtrącił, śmiejąc się, St. Clare. — Pokaż pan papiery, żebyśmy mogli wreszcie dojść do porozumienia.

Z zabrukanego pugilaresu dobył Haley świadectwo i pokazał nabywcy. Pan Haley wychwalał pracowitość, zdolność i charakter Toma. St. Clare wczytywał się uważnie, podczas gdy mała Ewa szepotała mu:

— Ale kup go, tatusiu, wszystko jedno co za niego zapłacisz, ja tak go potrzebuję.

— A do czego go potrzebujesz, moje serce? Do wózka z lalkami, czy do konia na biegunach?

— Nie, tatusiu, chciałabym, żeby był naprawdę szczęśliwy.

— No, jest to powód, do którego można przychylić ucha — rzekł z uśmiechem ojciec.

Haley pożerał wzrokiem paczkę banknotów, którą Saint Clare położył przed nim tymczasem.

— Tu są pieniądze, przelicz je pan — odezwał się bogacz do handlarza, który z rozpromienioną twarzą wypisywał świadectwo sprzedaży.

St. Clare nie asystował przy tej czynności: wziął córeczkę swoją za rękę i poszedł z nią do Toma.

Murzyn wzruszony do głębi spoglądał na swego pana. Nikt nie mógł bez szczerego, serdecznego zadowolenia patrzeć w tę piękną, jaśniejącą radością i dobrocią, twarz.

— Bóg niechaj ci błogosławi, mój panie! — zawołał Tom ze łzami w oczach.

— Zdaje mi się, że będę cię mógł użyć na stangreta — rzekł St. Clare — ale pamiętaj, pod tym jedynie warunkiem, że wolno ci się upić tylko dwa razy na tydzień, nie wliczając w to wypadków nadzwyczajnych.

Tem uczuł się dotkniętym i odpowiedział:

— Ja nie upijam się nigdy!

— Tem lepiej, — roześmiał się St. Clare.

ROZDZIAŁ V

Wkrótce potem okręt zawinął do Nowego Orleanu. Na podróżnych czekał już powóz. St. Clare, ciotka Ofelja i Ewangelina zajęli miejsca wewnątrz powozu; wuj Tom usadowił się na koźle.

Kareta zatrzymała się przed wsaniałym domem w stylu maurytańskim. Sklepiąca brama prowadziła na pięknie zbudowany dziedziniec czworobocznego gmachu. Wdzięczne podcienia ciągnęły się wokół podwórza; w środku biła rozpylonym deszczem fontanna, spadając w murowany basen, obsadzony wonnemi fijołkami. Kwitnące drzewa pomarańczowe darzyły cieniem i słodką wonią; naokoło stały w marmurowych wazonach najwyszukańsze rośliny podzwrotnikowe. Prawdziwie nieprzebrana moc tych okazów, okrytych bujnymi kwiatami, o najświetniejszych barwach, jak: granaty, geranje, krzaczaste róże, złote jaśminy czyniły z tego zakątka istny ogród zaczarowany. Galerje wokół dziedzińca zaopatrzone były w tureckie zasłony, które można było dowolnie ściągać i rozciągać, aby nie dopuszczać promieni słonecznych do wnętrza. Wszystko urządo-

ne było odpowiednio i harmonizowało z malowniczym obrazem tego pięknego podwórza.

— Czy tu nie pięknie w tej mojej krainie? — zapytała wesoło Ewa.

— Naprawdę pięknie — odpowiedziała miss Ofelja, wysiadając z powozu — tylko dom wygląda trochę staro i, jak mi się zdaje, po pogańsku.

St. Clare uśmiechnął się, słysząc tak skąpą pochwałę, i spojrzał na Toma, który cały zatopiony w podziwie nad tym światem cudów, zachwycił się nowym dla siebie widokiem.

Na galerjach zjawiała się czarna służba; mężczyźni, kobiety, dzieci. Wszystko śpieszyło na powitanie pana; ale Adolf, młody mulat, wszystkich odpychał, aby nie narzucali się panu.

Ten Adolf wyglądał jak elegant prawdziwy: miał na sobie jedwabną kamizelkę, złotą dewizkę i białe spodnie. Pozdrowił swego pana nadzwyczaj gadatliwie. Pan podał mu uprzejmie rękę, kazał nieść kufry i wprowadził Ofelję do wielkiego wychodzącego na werendę pokoju. Ewa pobiegła już naprzód do małego pokoiku, gdzie jej piękna matka, blada, o czarnych oczach, spoczywała na sofie. Dziecko objęło matkę gwałtownie za szyję i zasypało ją pieścizotami.

— Dość już, dość! — broniła się p. St. Clare, pocałowawszy córkę.

Z kolei powitał żonę August i przedstawił jej kuzynkę Ofelję.

Miss Ofelja oniemiała na widok Ewuni, witającej z zupełną poufałością cisnących się murzynów. Dziecko rzuciło się w objęcia starej swej piastunki, Mammy. Murzynką płakała ze szczęścia, płakała i śmiała się na przemiany, całowała i przyciskała do serca małą swą panią. W mgnieniu ok zabrało się dziecko do rozdzielania między niesforny tłum podarków przywiezionych w ręcznym koszyczku, a nakupionych przez całą drogę. Ojciec chodził tymczasem od jednego do drugiego i każdemu ścisnął rękę, a w odpowiedzi na objawy głośniejszej radości rzucał drobne monety między zebranych.

— Możecie już iść, dobrzy ludzie! — rzekł wreszcie — Adolfie, nicponiu, co ty tam robisz? Czy nie przestajesz?

Adolf stał oparty o poręcz schodów i przez lornetkę przyglądał się biednemu Tomowi. St. Clare podszedł do niego, wytrącił mu lornetkę z ręki, i wskazując jedwabną kamizelkę, powiedział:

— Zdaje mi się, że to chyba moja kamizelka.

— Proszę pana, była tak wypłamiona winem, że tak znakomity pan nie może jej nosić. Dobra jest jeszcze tylko dla takiego biednego murzyna, jak ja

— Aha, więc wypłamiona?... — zauważył

St. Clare z obojętnością w głosie. — Zapamiętaj sobie tylko, żebyś mi dbał dobrze o Toma; on jeden więcej jest wart, niż dwóch takich urwipolciów, jak ty.

Po tych słowach zabrał ze sobą Toma na pokój, aby go przedstawić żonie. Staremu całe to oślepiające bogactwo zapierało dech w piersiach i przejmowało go jakąś trwogą; nie śmiał stąpać po tych puszystych jak aksamit i miękkich dywanach.

— Spójrz, Mary, przywiozłem ci stangreta czarnego, jak węgiel. Możesz już na nim polegać, wlec się będzie, gdy zechcesz, jak ślimak. Tylko mi nie mów nigdy, że gdy jestem w drodze, nie myślę o tobie.

Mary podniosła zlekka wzrok i spojrzała na Toma, potem rzekła od niechcienia:

— Zdaje mi się, że jest dobry i nie będzie się upijał, jak jego poprzednik.

Gdy Tom wyszedł z pokoju, zaczęła się pani St. Clare gorzko uskarżać, że mąż jej pisywał tak krótkie listy, a powrót swój, chociaż ze słusznych powodów, opóźnił o całe dwa tygodnie. Aby ją ulagodzić, przywiózł St. Clare piękną szkatułkę, wybijaną aksamitem, a w niej wspaniałą fotografię, przedstawiającą Ewę z ojcem, siedzących obok siebie, i zapytał, czy są podobni?

— Co za nieładna postawa!

— Ale podobieństwo! Co myślisz o podobieństwie?

— Nie dbasz o to, co ja myślę — odparła pani St. Clare z niechęcią. — Nie masz dla mnie żadnych względów. Wiesz przecie, że jestem cierpiąca i każesz mi oglądać fotografie, kiedy mi już w głowie aż huczy od tego hałasu, którego narobiłeś twoim przyjazdem.

August, dotknięty do żywego, odszedł. Wkrótce weszła do pani czyściutko ubrana mulatka Mammy — przedmiot tak serdecznych pieszczot Ewuni — i zaprowadziła miss Ofelję do jej pokoju. Stara panma siedziała dotychczas w kąciaku i była niemym świadkiem całej sceny małżeńskiej. Po wzruszeniach podróży i wrażeniach doznanych już na miejscu, potrzebowała przedewszystkiem wypoczynku.

ROZDZIAŁ VI

Upłynęły już dwa lata od chwili, kiedy Tom dostał się do nowego pana. Jakkolwiek rozłączony ze wszystkiem, co sercu jego było drogiem, nie czuł się jednak już teraz nieszczęśliwym. Ukochana Biblja uczyła go, jak ma być zadowolonym w każdem położeniu; nie odstępowała go też nadzieja, że jeszcze kiedyś wszystko weźmie dobry obrót.

Na ów list, który pan za niego napisał do domu, otrzymał wreszcie Tom odpowiedź od Mr. Alwina, dużemi, jakby dla dziecka w szkole umyślnie pisanemi, literami. Niejedna dobra wiadomość znalazła się w tym liście. Ciotka Chloe dostała się do Louisville, wynajęta do jakiejś cukierni. Grube pieniądze, które tam zarabiała dzięki kunsztowi swemu w pieczeniu pasztetów, miały iść, wskutek wstawienia się pani Shelby w całości na zebranie z czasem okupu za Toma. Mojżesz i Piotr, dwa ucieszne błazenki, mieli się dobrze, a najmłodsze pod okiem Sally uwijało się już rażno na

nózkach. Cztery nowe żrebaki przysły na świat od czasu wyjazdu Toma, a rodzice Alwina cieszyli się najlepszym zdrowiem — opiewał list.

Dla Toma to alwinowskie pismo było czemś cudownem. Nie mógł mu się napatrzeć i odbył z Ewą żywą naradę, czyby nie było sposobu tak list opisać, żeby obie strony można było widzieć jednocześnie. Tom i Ewa byli zresztą w jak najlepszej z sobą przyjaźni. On patrzył na małą swoją panią z uczuciem czci zarazem i tkliwości, starał się wyczytać z oczu, czego chciała, i był już nad wyraz szczęśliwy, gdy małeństwo wychyliło jasną swą główkę przez drzwi i zdaleka przyjaźnie go witało. Najpiękniejsze chwile dla obojga nastawały wtedy, kiedy Ewunia wzięła się do czytania Biblii. Dźwięczny jej głos, dobitne czytanie tekstu z dobrem zrozumieniem myśli, uczyniły z niej lektorkę, jakiej Tom nigdy jeszcze w życiu nie słyszał. Pierwsza ofiarowała mu się z tą przysługą, aby okazać uprzejmość skromnemu przyjacielowi, ale wkrótce jej poważna i pobożna natura sama znajdowała jaknajwiększą przyjemność w czytaniu. Najsilniej pociągał ją do siebie natchniony, obrazowy język Proroków i Objawienia. Wzbudziła się w niej dziwna jakaś tęsknota, jakieś nieokreślone, słodkie uczucie, zazwyczaj ogarniające dzieci z bujną wyobraźnią. ✓

Rodzina St. Clare'ów, jak corocznie, tak i tego roku, przed skwarem i zgiełkiem miejskim, schroniła się do rozkosznej swojej willi nad jeziorem. Przybył tu na kilka dni w odwiedziny i brat St. Clare'a, Alfred, ze swym najstarszym synem. Henryk — tak bowiem nazywał się dwunastoletni młodzieniaszek — był silnym chłopcem o czarnych oczach, z wyrazem tryskającego w nich życia. Prędko zaprzyjaźnił się ze swą kuzynką Ewą. Była to przyjaźń serdeczna, ale w tym charakterze tylko jednostronna.

Ewa miała białego, jak mleko, małego konia. Lubiała go bardzo, masztalerz wuj Tom pielęgnował go aż do pieśczęt. Piękne to zwierzę, jakby z czarnoksiężskiej bajki, przyprowadził pewnego dnia Tom pod werendę, podczas gdy chłopiec mulat podążał już w to samo miejsce z małym arabskim rumakiem, karej maści, niedawno nabytym dla Henryka za bardzo wysoką cenę.

Henryk pysznił się swoją nową własnością i gdy teraz przystąpił do konia i wziął cugle z rąk małego swego giermka, zaczął się ze szczególną pilnością przypatrywać szlachetnemu zwierzęciu, poczem czoło mu się zmarszczyło:

— Co to znaczy, Dodo, ty mały leniuchu! Nie oczyściłeś mi dziś wcale konia.

— Owszem, panie, czyściłem, tylko się sam powalał.

— Milcz, łotrze jakiś! — wrzasnął Henryk St. Clare i zamierzył się szpicrutą. — Jak śmiesz mi przeczyć?

Zwymyślany w ten sposób chłopiec był to przystojny, z ognistym spojrzeniem mulat. Nad wysokością czołem piętrzyły mu się loki bujnych włosów. Po zarumienionych nagle policzkach i iskrzącym wzrokiem poznać było można, że ma gorącą krew w żyłach. Z takim wyrazem twarzy jął się odcinać Henrykowi:

— Massa Harry... — zaczął.

Ale tamten nie dał mu dokończyć: rąbnął go szpicrutą po twarzy, schwycił za ramię, przewrócił na kolano i bił dopóty, dopóki stało tchu w pierśsiach.

— Na, masz za swoje, bezwstydnym hultaju! — wołał Henryk St. Clare — Nauczysz się może wreszcie milczeć kiedy ja mówię. Chciał się jeszcze usprawiedliwiać! Łotr skończony!

I dał jeszcze raz szpicrutą biednemu groomowi.

— Odprowadź mi zaraz konia do stajni i oczyść jak należy. Pokażę ja ci, co to służba!

— Paniczu! — odezwał się Tom — Dodo chciał

prawdopodobnie powiedzieć, że się koń wytarzał już po wyprowadzeniu ze stajni; to ognisty koń i łatwo mógł się zawalać. Widziałem na własne oczy, jak go Dodo czyścił.

— Trzymaj język za zębami, póki cię nie spytają! — huknął Henryk, obrócił się na pięcie i odszedł do Ewy, która czekała już na niego, ubrana jak amazonka.

— Droga kuzyneczko — rzekł — przykro mi, że ten niezdara każe ci czekać. Póki nie wróci, siądziemy sobie na tej oto ławeczce. Ale co ci jest, Ewelinko? Smutna jesteś taka...

— Jak mogłeś tak okrutnie, bezbożnie postąpić z biednym Dodo? — przemówiła Ewa głosem pełnym wyrzutu.

— Okrutnie? Bezbożnie? — odparł zdumiony chłopiec. — Jak to rozumiesz, kochana Ewo?

— Nie nazywaj mnie kochaną, jeżeli możesz robić takie rzeczy.

— Droga kuzynko, nie znasz Doda. Niepodobna się z nim inaczej obchodzić. Łotr w nim siedzi, pełen kłamstw i wybiegów; to też trzeba go zawsze za kark i o ziemię. Przypatrywałem się ojcu: tak samo postępuje ze swoimi ludźmi.

— Ale wuj Tom powiedział ci przecież, że Dodo jest niewinny, a Tom nigdy nie kłamie.

— Ten twój przyboczny wuj jest prawdziwie cudownym okazem starego murzyna. A ja ci powtarzam, że Dodo kłamie, ilekroć otworzy usta.

— Mnie się zdaje, że on nie kłamie, ale ty robisz z niego w końcu kłamcę: bijesz go, choć na to nie zasłużył.

— Jeśli tak, to niech już to, co dostał, będzie zaliczką na przyszłość; za pierwszym razem, gdy zasłuży na karę, wyjdzie cało.

Konie przyprowadzono napowrót, a gdy Ewa siedziała już na siodle, przechyliła się w stronę Doda i powiedziała mu, biorąc od niego cugle:

— Dobry z ciebie chłopczyna; dziękuję ci.

Dodo spojrzał zdziwiony w łagodne oczy młodej pani: krwią nabiegły mu policzki, łzy zabłyśły w oczach. Henryk, zawstydzony nieco, rzucił malcowi trochę monety, jako okup wyrządzonego mu cierpienia.

Dzieci odjechały galopem. Ewa miała na sobie niebieską amazonkę i czapeczkę tej samej barwy. Różowe jej policzki, złote włosy wytwarzały z tym strojem pod względem malowniczości zjawisko w swoim rodzaju jedyne. Wuj Alfred nie mógł się powstrzymać od powiedzenia bratu kilku pochlebnych słówek. Panu St. Clare'owi zadowolenie z pochwał

zachmurzyła myśl o nadzwyczaj wątlęm zdrowiu córki.

Dzieci, galopując tak jak i przy wyjeździe, powróciły wkrótce do domu, a St. Clare zsadził córkę z konia. Uniósł ją z ojcowską miłością w ramiona i spytał niespokojnie:

— Nie zmęczyłaś się chyba nad miarę, moja perełko?

— Nie, tatuniu — odpowiedziało dziecinnie.

Ale jej szybki, krótki oddech przeraził ojca.

— Jak mogłaś tak prędko jechać, dziecko? Wiesz przecież, że ci to szkodzi.

— Och, tak mi było dobrze, tyle miałam przyjemności, że nawet nie pomyślałam o tem.

St. Clare zaniósł córeczkę do pokoju, na sofę, aby dobrze wypoczęła, nim podadzą do stołu. Po chwili wszedł i Henryk, przysiadł się do Ewy i wszelkiemi siłami starał się rozproszyć złe mniemanie, jakie jego siostra stryjeczna powzięła o nim z powodu zajścia z Dodem. Bolało go to, dotykało jego miłości własnej, że Ewa dała mu poznać swe niezadowolanie. Chłopiec uniewinniał się gwałtownością swego charakteru i przyrzekł w przyszłości więcej zważać na siebie. Mały a rozhukany kawaler posunął do ostatecznych granic swą pokorę; ale Ewa nie wierzy-

ła w jego skrucę, gdyż Henryk nieraz już przedtem przedrwiwał sobie z wuja Toma i natrząsał się z tego, jak można mieć tyle przywiązania do prostego sługi, do istoty tak niegodnej, do murzyna.

ROZDZIAŁ VII

Po odjeździe gości, pewnej niedzieli wieczorem, siedzieli Tom i Ewa w cienistej altanie ogrodu. Na kolanach dziewczątka leżała Biblja.

Ewangelina czytała:

„I widziałem całe morze szkła i morze ognia zarazem...”

Nagle urwała i wskazując jezioro, w którego przeczystem zwierciadle odbijał się złoty żar zachodzącego słońca, rzekła:

— Tak właśnie wyobrażam sobie to morze Nowego Jeruzalemu. Spójrz na te chmury nad naszymi głowami: czyż nie wyglądają, jak bramy z konchy perłowej? Przez jedną z tych bram i ja wejść do grodu zbawienia, już niezdługo...

Słowa te ukłuły starego wiernego przyjaciela w samo serce. W ostatnich czasach nieraz zdarzyło mu się zauważyć niezwykłą chudość i przezroczystość rąk dziewczątka, krótkość jej oddechu, znużenie

przy najmniejszym wysiłku; rzadko ją widzieć można było wesoło skaczącą po ogrodzie, jak dawniej. Miss Ofelja wspominała wprawdzie często o niedobrym kaszlu, na który żadne lekarstwa nie pomagały, ale żeby dziecko mogło już mieć w sobie zaród śmiertelnej choroby — nigdy jej myśl taka nie powstała w głowie. Dopiero w ostatnich czasach ogarnęły ją jakieś niejasne podejrzenia.

— Ewo, Ewo — zawołała w tej chwili stara panna z odcieniem obawy w głosie. — Rosa już pada, a ty tak długo siedzisz na dworze.

Miss Ofelja знаła aż nadto dobrze pierwsze objawy pożerającej choroby, która zbyt często najpiękniejsze, najmilsze kwiatuszki zabiera powoli a nieubłagane z błoni żywota. Z obawami swemi zwierzyła się St. Clare'owi; ojciec z goryczą odepchnął samą myśl takiej okropności; nie chciał uwierzyć w niebezpieczeństwo, nie chciał powiedzieć sobie, że może utracić na zawsze to, co miał najdroższego na ziemi. Ale od tej rozmowy z kuzynką trwożliwiej już spoglądał na swoje dziecko, niby nieznacznie, aby nie zwrócić jego uwagi, zatrzymywał ją przy sobie częściej i na dłużej, niż dawniej, i z rosnącą wciąż i coraz większą troską patrzył, jak dziecko z każdym nowym dniem, coraz bardziej dojrzewa duchem nad swój wiek dziecięcy. Małeństwo stało się jeszcze

słodszem dla wszystkich, znajdowało przyjemność tylko w tem, co komuś mogło zrobić dobrego i wzruszało do łez swoją troskliwością każdego z domowników. Uśmiech na jej twarzyczce zjawiał się już tylko wtedy, gdy przypatrywała się wesołym zabawom dzieci murzyńskich; wtedy tylko śmiała się szczerze, z serca. Nieraz oczy jej przybierały nagle dziwnie głęboki wyraz zamyślenia. Myśli jej wtedy wybiegały w niezmierzoną dal.

Oslabienie było coraz większe. Wezwano lekarza: nakazał położyć się na dni kilka do łóżka. Miss Ofelję ogarnął wówczas wielki niepokój. Mary St. Clare, matka dziewczątka, nie okazywała tymczasem żadnych macierzyńskich obaw. Samolubna kobieta nigdy nie chciała przyznać, że ktoś w jej otoczeniu jest chory lub potrzebuje starania; i teraz więc, kiedy Ofelja powiedziała jej, co myśli o zdrowiu dziecka, trwoga wydała się jej przesadzoną, i wiecznie jęcząca dama zaczęła się uskarżać, że ją przy jej cierpiącym stanie niepotrzebnie męczą urojonemi troskami. I o nią samą — mówiła — obawiano się, czy nie wpadnie w suchoty, kiedy była w wieku Ewy, a była przecież jeszcze delikatniejszą od niej...

Gdy jednak lekarz potraktował sprawę zupełnie poważnie i nie pozwalał już chorej podnosić się

z łóżka, wtedy znowu matka dziecka zaczęła płakać i jąla zapelniać powietrze skargami i jękami, i bajdurzyła już teraz z innej beczki: biadała, że dziecko zbliża się szybko do grobu, a ona, jego rodzona matka, z powodu niedomagania, którem ją dotknął Bóg, nie może go nawet pielęgnować. Biedna Mammy przeżyła wtedy piekielne męki: pani kazała jej czuwać po całych nocach, a we dnie lajała ją ustawicznie i wszystko ganiła, nic jej się nie podobało do czego tylko Mammy przyłożyła rękę.

St. Clare nie dał sobie tymczasem niczem wydrzeć tej nadziei, że dziewczę wkrótce wyzdrowieje i chwytął się najłżejszego pocieszającego objawu, jako deski ocalenia. Rzeczywiście, po kilku tygodniach zdrowie Ewuni polepszyło się nieco. Zdarza się to często w tej podstępnej, milczkiem pełzającej chorobie. Przywalone troską serca odetchnęły. Ojciec był zachwycony, gdy ujrzał swą córkę igrającą znowu w ogrodzie i na werandzie, śmiech jej rozlegał się jak dawniej, wróciła jej dziecięca wesołość. Z tem wszystkiem, w niej samej, w świadomości jej ducha, w najtajniejszej głębi duszy tkwiła ciągle myśl, że dni jej na ziemi są już policzone, a tych dni jest już tak niewiele — tak mało, tak okrutnie mało. Myśl ta nie przerażała jej wcale: niebo, do którego się zbliżała, zdawało się jej wesołem, uśmiechnionem,

jak blask zachodzącego słońca — łagodnem i czystem jak cichy, jasny dzień jesienny. Z ukochanej księgi wiary poznała wielkiego Boga — przyjaciela dzieci i otworzyła Mu radośnie młode swe serce, i przyjmowała Go w niem teraz, jak gościa, upragnionego ponad wszystko. Tu już na tym padole dzień za dniem upływał jej na pobożnem podniesieniu duszy ku Niemu; śmierć może ją z nim tylko połączyć, śmierć zaprowadzi ją do wiekuistej Ojczyzny. Wieki miną, a rozkosz z oglądania oblicza Zbawiciela nie minie...

Smutno jej było tylko, że musi opuścić tych, którzy byli drogimi jej sercu. Najgłębszą boleść budziła w niej myśl, że będzie się musiała rozstać z ojcem, dla którego była jedynem ukochaniem. Matka miała dla niej coś, czego ona rozumem swym nie mogła zbadać, ale i matkę kochała również; była całą miłością. I wszyscy ci wierni słudzy, którym codziennie rozjaśniała życie słonecznym promieniem swej dobroci, bliscy byli jej sercu. Jakżeby chciała teraz uczynić coś dla nich, ulżyć im ciężkiego losu, wszystkim dać wolność i wybawić z tej ziemi niewoli, która im się dostała w udziale!

— Wuju Tomie — rzekła pewnego dnia do przyjaciela, któremu odczytywała księgę świętą, — rozumiem teraz dobrze, dlaczego Chrystus Pan czuł potrzebę umrzeć za nas: czułam i ja to samo,

— Miss Ewo, co panienka mówi? Nie rozumiem dobrze.

— Pamiętam jeszcze, jak mi się serce ścisnęło, kiedy na statku patrzałam na ciebie i inne biedne stworzenia Boże. Matki płakały małych swych dzieć, żony — mężów, córki i siostry — ojców i braci. Doznawałam wtedy pragnienia śmierci, jeśliby śmierć moja miała położyć kres całej tej nędzy.

Tom przy tych słowach, powiedzianych uroczystym głosem, nie mógł się powstrzymać od łez; ocierał sobie i osuszał łzawiące się wciąż oczy, a ukradkiem spoglądał na Ewę. Naraz pan St. Clare zawołał córkę na werendę: pobiegła. Włosy jej błyszczały złotem, a słońce promieniami swymi otaczało główkę, jakby aureola świętych. Z rozpalonemi policzkami i nienaturalnie roziskrzonymi oczyma, ujrzał ją St. Clare przed sobą w białej zwykłej jej sukience. Pierwszy raz dopiero tknęło go smutne przeżucie.

— Ewuniu, Ewuniu, czujesz się teraz zdrowszą, prawda? — spytał i w rozrzewnieniu złożył na jej czole pocałunek.

Córka objęła go rączkami, a on ją pociągnął ku sobie.

— Papo, — szeptała — mam ci do powiedzenia coś, co ~~mi~~ miałeś usłyszeć ode mnie. Chciała-

bym to spełnić teraz, póki jeszcze bardziej nie osłabnę.

— Co takiego, dziecko moje? — spytał St. Clare, siłąc się na wesołość. — Perzuć te czarne myśli; choroba zostawiła ci po sobie taką bojaźliwość. Przypatrz się lepiej temu posążkowi, który kupiłem dla ciebie.

— Na nic się to nie zda, ojczulku, — ciągnęła Ewa ze słodyczą, ale i ze stanowczością zarazem — jeżeli jeszcze dłużej ludzi się zechcemy: nadchodzi chwila, w której będę się musiała rozstać z wami wszystkimi. Wierz mi, tatusiu, nie czuję się wcale silniejszą teraz, po tem niby wyzdrowieniu. Musisz się oswoić z myślą, że od was odejdę. A odchodzę bez trwogi; ciebie mi tylko i moich ukochanych żał. Ja sama rwę się tam, z utęsknieniem wyglądam chwili...

— Ale co ci jest, dziecko? — przerwał St. Clare. — Skąd ten smutek? Czy nie masz tu wszystkiego, czego potrzeba do szczęścia?

— Tak, ale wolalabym być w niebie. Żyć chciałabym tylko dla swoich przyjaciół. Tutaj dzieje się tyle rzeczy, które mnie przejmują smutkiem i wydają mi się wprost okropnemi.

— Co takiego, moja Ewo? Nie rozumiem cię.

— Dzieje się to ciągle, a ja nie mogę nic zmienić. Smutno mi z powodu tych ludzi, którzy u nas

pracują. Tacy są dla mnie dobrzy i tak ich lubię i wiem, że jestem przez nich lubiona. Chciałabym, ojcze, żeby oni wszyscy byli wolni.

— Czy któremu z nich dzieje się u nas jaka krzywda?

— Coby się jednak stało z nimi, gdyby cię, ojcze, co spotkało.. spotkało coś niedobrego? Niewielu znajdzie się takich, jak ty, ojcze; nie takim jest wuj Alfred, nie taką jest i mama. Są na świecie ludzie okrutni, zdolni do obmierzłych rzeczy i istotnie dopuszczający się niejednej ohydy.

Powiedziawszy to, zadrżała.

— Zanadto się rozdrażniasz, drogie dziecko, nie powinnaś nic wiedzieć o podobnych rzeczach.

— To właśnie sprawia mi niepokój, bo to samolubstwo, ojcze! Chcesz oszczędzić mi wszelkiego bólu, chcesz, żebym była szczęśliwa i nie cierpiała nawet nie słuchała smutnych historii, — gdy istnieją biedne stworzenia, które nic mnie znają, — prócz niedoli i zgryzoty. Ale ja muszę wiedzieć co się dzieje: to potrzeba mojego serca, niemało już nad tem myślałam. Czy niema, ojcze, sposobu na to, aby wszystkim niewolnikom dać wolność?

— Jest to bardzo zawiła sprawa, moja Ewo! W mojem przekonaniu, niewolnictwo jest rzeczą obmierzłą, a tak jak ja, myśli wielu innych ludzi. Z

upragnieniem czekam chwili, w której już w całym kraju nie będzie ani jednego niewolnika; ale jak tego dokonać? — Nie wiem.

— Jesteś, ojczy, tak dobry i szlachetny, tak umiesz przemawiać do ludzi, że mógłbyś ich nawiedzać, przekonywać i nakłaniać do spełnienia dzieła sprawiedliwości. Poszłabym z tobą, gdybym tylko mogła! Gdy umrę, pamiętaj o tem i uczyni to dla mojej pamięci.

— Nie mów tak, dziecię, bo mi rozdzierasz serce! Jesteś mi wszystkim na tej ziemi.

— Biedni niewolnicy kochają także swe dzieci, jak ty kochasz mnie. Nie uczynisz nic dla nich? Widziałam nieraz Mammy płaczącą z tęsknoty za dziećmi; i Tom, oderwany od swoich ukochanych, ciężko cierpi. Okropność, że coś podobnego musi się dziać!

— Drogie dziecko, ty skarbie mojego serca! Uczynię wszystko, czego zechcesz: porzuć tylko te smutki i nie mów o śmierci!

— Przyrzecz mi zatem, że obdarujesz Toma wolnością, gdy tylko... — tu zatrzymała się i dodała cichym już głosem — gdy tylko umrę.

— To wszystko, czego pragniesz?

— Gdybyśmy mogli odejść razem! — rzekła Ewa, przyciskając rozpalony policzek do ojcowskiej twarzy, — jakże ja tego pragnę!

— Dokąd, dziecię moje?

— Do Zbawiciela, gdzie tak pięknie i spokojnie, gdzie mieszka sama tylko miłość...

Bezwiednie mówiła o Niebie tak, jakby o jakim dobrze sobie znanem miejscu. I tonem niezmałconej pewności dodała:

— I ty tam pójdziesz, ojcze, przyjdiesz do mnie i nazawsze już ze mną zostaniesz.

— Pójdę za tobą — tak, tak — i nie zapomnę ciebie nigdy — wyszeptał St. Clare zaledwie dosłyszalnym głosem i przycisnął wątłą postać dziecka do piersi, z całym żarem serca nieszczęśliwego ojca.

Cienie wieczoru zapadały już coraz głębiej. Słowa Ewy były dla ojca jej jakąś mową tajemniczego ducha. Siedział cichy, zagłębiając się w bolesne wspomnienia. Własne jego dzieciństwo wystąpiło mu przed oczy, słyszał modlitwy swojej matki i pobożne pieśni i odczuł, jakby dawnem swem sercem, młodzińczy poryw do dobra.

Gdy się ściemniło jeszcze bardziej, zaniósł Ewę do pokoju sypialnego i siedział jeszcze przy jej łóżku, gdy ją dawno już ujął sen.

ROZDZIAŁ VIII

Jak wszystkie inne komnaty domu, wychodziła też obszerna sypialnia Ewuni na dużą werendę. Z jednej strony łączyła się z sypialnią rodziców, z drugiej z pokojem miss Ofelji. St. Clare z całą miłością, jaką miał dla dziecka i starannością przyozdobił jej salonik sypialny. Meble były tu plecione z pięknie dobranego bambusu, okna zdobiły firanki z różowego i białego muślinu, na podłodze leżał wzorzysty dywan z bukietem róż w środku, z pączkami, gałązkami i liśćmi po brzegach. Na alabastrowym postumencie stał w głowach łóżka posąg anioła ze spuszczonej skrzydłami. Samo łóżko osłaniały różowe firanki z gazy, dla ochrony od moskitów, które w tym gorącym klimacie nie pozwoliłyby spać spokojnie, gdyby nie taki środek ochronny. Na lekkim bambusowym stole pośrodku pokoju, leżały książki Ewy i małe cacka, a w marmurowych wazach na gziemiu komin-^{ka} stały świeże bukiety, które Tom z dumą i radością

dzień w dzień kazał przynosić co rano. Urocze obrazy, wyobrażające wesołe sceny z dziecięcego życia, piękny posąg Chrystusa Pana, błogosławiącego dzieci — uzupełniały umeblowanie powabnego zacisza, którego całe urządzenie w sam raz odpowiadało charakterowi i indywidualności tej, która je zamieszkiwała.

Niegdyś była to widownia radości; dzisiaj zakwaterowała się tam boleść. Siły Ewy opadały widocznie. Rzadko już kiedy wychodziła na werendę; najczęściej cały Boży dzień spoczywała na małej kanapie przy otwartem oknie, skąd wzrok padał na gładką, jak zwierciadło, powierzchnię jeziora.

Raz popołudniu leżała tak zatopiona w myślach, gdy nagle usłyszała gniewny głos swej matki na werendzie:

— Kto ci pozwolił, ty łajdaku, rwać kwiaty? Poczekaj, oduczę cię tego!

I Ewa usłyszała przeciągły odgłos bicia i jednocześnie żalowaną skargę małej Topsy.

Topsy była to świeżo nabyta dziewczynka murzyńska. St. Claire podarował ją swej kuzynce, aby doświadczyć wychowawczych zdolności starej ciotki. Dziecko było zupełnie opuszczone, ale nie pozbawione zdolności umysłowych, krnąbrne, uporne, swawolne i platające najrozmaitsze figle; dla jednej tylko

Ewy znało uległość, bo Ewa umiała znaleźć drogę do jej serca.

— To kwiaty dla panny Ewy. Chcę jej zanieść ten bukiet, — tłumaczyła się mała murzynka.

— Ładna wymówka! Panna Ewa nie potrzebuje twoich kwiatów. Zabieraj się i wynoś stąd czemprędzej!

— Pozwól, mamó, żeby mi Topsy podała tu te kwiatki — rzekła Ewa, unosząc się nieco z posłania — kwiatków nigdy zawiele.

Topsy, która stała przedtem ze zwieszoną głową, teraz żwawo pobiegła do pokoju Ewuni, ale gdy stanęła przed nią, miała jakoś dziwnie skromną, zawstydzoną minę, Uderzało to w dziecko, które zazwyczaj było rozpuszczone, jak dziadowski bic.

— Jakie to ładne! — odezwała się Ewa, przypatrując się bukietowi, ułożonemu z samych czerwonych geranji z białą tylko, jedną jedyną, białą różą w środku. — Ślicznieś zrobiła bukiet, Topsy. Możesz mi codzień przynieść świeży, do tamtego wazonu, który stoi jeszcze pusty. Pozwolisz, mamó?

— Jeśli sobie tego życzysz, niech tak będzie. Słyszysz, Topsy, co ci mówi twoja pani? Nie zapomnij!

Topsy patrzała w ziemię; odchodząc, zrobiła krótki dyg., a Ewa spostrzegła łzę w jej oku.

— Biedna dziewczyna! Chciała mi zrobić przyjemność — rzekła z westchnieniem Ewa.

ty w to wierzysz? — odparła matka. — Rozpuszczone łajdactwo rwało kwiatki tylko dlatego, że rwać nie wolno. Skoro jednak tak chcesz, będę już patrzyła na to przez szpary.

— Mnie się zdaje, mam, że Topsy stara się być dobrą dziewczyną; już jest teraz inną, niż była. Naprawdę.

— Czyżby? Jeszcze tego nie spostrzegłam — odpowiedziała oschle pani St. Clare — niełatwo jej to chyba przyjdzie.

Po chwili Ewa zaczęła znowu:

— Mam prośbę do kochanej mamy. Chciałabym obciąć włosy i rozdać je moim przyjaciołom; pragnę to jeszcze zrobić sama. Ciotka ma dobre serce i zajmie się obcięciem.

Stało się zadość życzeniu Ewy; bujne pukle jasnych, pięknych włosów leżały już na kolanach dziecka, gdy do pokoju wszedł St. Clare z koszyczkiem pełnym owoców.

— Były za długie, ojczulku, i rozpałała mi się od nich głowa — odpowiedziała Ewa na pytające spojrzenie ojca, w którym znać było niespokojne zdziwienie — chciałam też porobić z włosów podarki. Ciebie to boleśnie razi, gdy mówię o rozstaniu z

wami. Ale mam ja jeszcze niejedno na sercu, coby
chciała powiedzieć i wykonać. Odwlec tego niepo-
dobna. Muszę też pomówić jeszcze i z tymi, którzy nam
służą. Proszę cię, spraw mi tę radość, żebym mogła
wszystkich zwołać do siebie

— Stanie się według twojej woli, moje dziecko—
rzekł St. Clare z boleścią, ręką przysłaniając sobie
oczy.

Zwołano wszystką służbę. Rozrzewniające było
pożegnanie małej pani z wierną czeladką. Słowa pełne
miłości wyrwały z piersi gromadki czarnych głośne
skargi i łkania. Ewa prosiła, aby ukoili żalność, aby
myśleli o tem, że jest świat inny, piękniejszy, do któ-
rego ona właśnie odchodzi i do którego powinien za
nią podążyć każdy kto miłuje Chrystusa i idzie jego
śladami.

— Będę się za was modlić, aby wam Zbawiciel
dopomógł; módlcie się wy także i starajcie się być
tak dobrymi na ziemi, jak tylko być możecie. Chry-
stus was wybawi, a nadejdzie czas, gdy się wszyscy
zobaczymy w Niebie.

— Amen — rozległo się z ust Toma i Mammy.

Starsi ze służby, należący do sekty metody-
stów, przywóztoryli młodszy, wzruszeni do głębi, łkali
żałośliwie.

— Byliście dobrzy dla mnie — ciągnęła Ewa

— na pamiątkę chciałabym dać każdemu z was pu-
kiel moich włosów... Niech wam mnie przypomina.
Pamiętajcie, że was wszystkich kocham.

We łzach cisnęli się murzyni na pożegnanie do
małej pani i brali z jej ręki znaki miłości: padali na
kolana, modlili się, całowali kraj jej szaty. Gdy każ-
dy wziął już swój upominek, miss Ofelja skinęła na
nich, by odeszli, obawiała się bowiem, aby zbytne
~~wzruszenie~~ nie zaszkodziło chorej. Wszyscy tedy
wyszli z pokoju, i mała Topsy również: swawolne
dziecko wślizgnęło się za innymi ukradkiem i dostało
przeznaczoną dla wszystkich pamiątkę. Otrzymany
promień włosów Ewy ukryła dziewczyna na pier-
siach, jak drogocenny przedmiot.

Miss Ofelja z serdecznem współczuciem i nie-
zmordowaną siłą, pełniła dniem i nocą obowiązki
swoje, jako dozorczyni chorej. Nie było już teraz
nikogo, ktoby się mógł ludzić jakąkolwiek nadzieją.
Dziewczątka nikło w oczach. Napadały ją częste go-
rączkowe niepokoje. W takich chwilach, nie mogąc
uleżeć w łóżku, kazała się Ewa brać Tomowi na ręce
i nosić w poduszce po ogrodzie, albo też do jednego
z dawniejszych ustroni, i tam słuchała hymnów przez
niego śpiewanych, które tak lubiła.

Nieszczęśliwy ojciec, jak z początku nie chciał
się poddać woli Boga, który żądał od niego ciężkiej

ofiary, tak teraz zapadł znowu w dziwny spokój i zupełną bezwładność. Od łoża cierpień jego drogiej Ewy szedł na niego taki święty wiew, że kojącemu jego wpływowi St. Clare nie zdołał się oprzeć. Dziecko niewiele już cierpiało; wyglądało tak pięknie, promieniało taką miłością i szczęściem, że bez głębokiego wzruszenia niepodobna było go nie patrzeć.

Pewnego południa była Ewa szczególnie rzeźką, przejrzała wszystkie swe drobiazgi, wszystkie świecidelka i poprzecznaczała je dla swoich przyjaciół. Ojciec, wszedłszy do pokoju, ucieszył się, że tak dobrze wygląda i jest tak ożywiona; wieczorem, gdy ją opuszczał, tak jakgdyby mu kamień spadł z serca. Na rozstanie ucałował dziecinę, z wielką czułością. Nikt nie przeczuwał grożącego już tak blisko niebezpieczeństwa, nikt nie domyślał się, że wiekuista rozłąka tak prędko już nastąpi.

O północy, kiedy cisza zalegała przestwór, zbliżył się anioł śmierci do łoża Ewy. Doświadczona w doglądaniu chorych miss Ofelja z przerażeniem dostrzegła zmianę w obliczu Ewangeliny, dostrzegła ten nieomylny wyraz rysów, który mówi, że ukochana istota rozrywa swe więzy i nic już jej na ziemskim padole nie zdoła zatrzymać. Cały dom wpadł w osłupienie. Zawęzwano lekarza; ojciec i matka stanęli w śmiertelnej trwodze przy łożu dziecka, wsłuchując

się boleśnie w ostatnie już jego tchnienie. Dziewcząt-
ko raz jeszcze otworzyło wielkie niebieskie oczy:
błogi uśmiech przemknął po anielskiej twarzyczce,
zamierającym głosem wyszeptała: „Miłość, — ra-
dość, — spokój“ — i przeszła — od życia do śmierci.

Przemogła ziemię i ziemskie cierpienia. Światłość
jakaś nadprzyrodzona biła z jej twarzy, promie-
jącym, uroczystym tryumfem, wobec którego milknę-
szlochanie, marny wyraz ziemskiego bólu. Żyj, dro-
gie, ukochane dziecko, żyj tem życiem prawdy, do
którego tak tęskniłaś w tem życiu ułudy!

ROZDZIAŁ IX

Wkrótce po śmierci Ewangeliny St. Clare poczynił kroki celem uwolnienia Toma. Nie zdążył jednak poczynić wszystkich niezbędnych formalności, gdy nieszczęśliwy wypadek położył kres jego życiu. Prośby ciotki Ofelji o darowanie Tomowi wolności nie znalazły posłuchu u Mary St. Clare i oto biedny murzyn wraz z pozostałą służbą St. Clare'ów zostaje przeznaczony na sprzedaż przez licytację.

Nadszedł dzień wyznaczony na licytację. Mrowie ludzkie, wszelkiej narodowości, roilo się po marmurowych posadzkach długiej galerji. W okrągłej sali za nią, na stopniach, pośrodku stali: prowadzący licytację *auctioneer*, woźni i sami sprzedawcy. Każdy, mieszając francuszczyznę z angielszczyzną, zachwalał swój towar, rozmaitość wyboru, i starał się ściągnąć do siebie nabywców. Zbita w jedną gromadkę, stała służba St. Clare'a, a wśród niej Tom i Adolf. Wszyscy niewolnicy, stali ze spuszczonemi w ziemię oczyma i strwożeni wyczekiwali rozpoczęcia licytacji.

Nagle wysunął się z tłumu rosły, silny murzyn, który paplał jak papuga i u dawnego swego pana spełniał funkcję błazna nadwornego. Nazywał się Sambo i był niejako przeznaczony do błaznowania w sali licytacyjnej, aby ofiary, wystawione na oględziny, wyrwać z toni ponurych myśli, ożywiać je

i rozweselać. Blazen przystąpił i do Toma, który w pewnem odosobnieniu, pogrążony w myślach, siedział na swym kufrze; dał mu sółkę w bok, niby żartem, i rzekł:

— A ty co tu robisz, stary pustelniku? Filozofujesz?

— Mam być sprzedany przez licytację — odpowiedział spokojnie Tom.

— Sprzedany przez licytację! Hahaha! Żywe kpiny. Wiesz co, stary, chciałbym i ja w ten sposób dostać się w ręce tego, kto mnie ma kupić! A ty, szlachetny gagatku? — spytał, kładąc rękę na ramieniu Adolfa.

— Bądź tak dobry i nie wycieraj sobie mną gęby — odciął się Adolf z gniewem.

— Aha, wieście smyki, że to jeden z białych murzynów, coś w kolorze kawy ze śmietanką i do tego jeszcze perfumowany — powiedział, obwąchując Adolfa. — Przydałby się do sklepu z tytoniem: możnaby nim perfumować zwietrzały tytoń.

— Mówiłem ci, żebyś się odczepił ode mnie!

— Boże, jakież to niedotykalne, a nos zadziera do góry! Mój ty czarno-biały! Patrzcie tylko i podziwiajcie! — drwił dalej Sambo i komicznie zaczął przedrzeźniać Adolfa. — Istna lalka, a układ, a wdzięk! Musieliśmy być w jakiejś znakomitej ro-

dzinie, mus je? — dodał, zwracając się już oko w oko do swej ofiary.

— A co sobie myślisz? — odezwał się Adolf — mieliśmy pana, który was wszystkich mógłby kupić jak stare żelastwo na szmela.

— Tak? Co za nieoszacowane klejnociki!

— Należałem do rodziny St. Clare'ów — rzekł z dumą Adolf.

— Napewno? Niech mnie powiesz, jeśli tam wszystko, co żyje, nie cieszy się, że taki gagatek przestanie ich uszczęśliwiać. Pójdiesz, bratku, na licytację razem z potłuczonymi imbrykami od herbaty i wszelakimi innymi rupieciami.

Adolf rozwścieczony rzucił się z krzykiem na swego przeciwnika i walił na oślep gdzie mógł. Widzowie śmieli się do rozpuku. Rozruch sprowadził nadzorcę.

— Co się tu dzieje, źrebaczki? Cicho, sza! Na miejsca! — zawołał grzmiącym głosem, trzaskając z wielkiego bicia, który odrazu rozpędził zbiegowisko.

Jeden tylko Sambo, licząc na szczególne względy, jakich doznawał u pana nadzorcy, z powodu swych kuglarstw i błazeństw, nie ruszył się z miejsca, wymknął się, gdy go tamten chwycił za ramię, i rzekł:

— To nie my, panie! Myśmy siedzieli cicho; to ci zadzierający nosy do góry Seklerzyści przekomarzali się z nami i przez cały czas bawili się naszym kosztem.

Działo się to w jednym końcu sali. W drugim wabiły wzrok dwie postacie kobiece. Starsza, dobrze odziana, pięćdziesięcioletnia mulatka, ze słodkim wyrazem twarzy, z ujmującymi rysami, z głową obwinętą turbanem z delikatnego wschodnio-indyjskiego szala, sprawiała niezwykle wrażenie. Obok niej, jakby przykute, stało młode dziewczę, lat może liczące piętnaście. Była to córka staruszki, mająca pleć jaśniejszą, niż matka, do której zresztą była wybitnie podobna: takie same, słodkie ciemne oczy, tylko z dłuższymi jeszcze rzęsami, taki sam włos bujny a ciemny. Skromny jej ubiór, delikatne, starannie pielęgnowane ręce wskazywały, że nie miała nigdy bardzo ścisłej znajomości z ciężką pracą. Dotychczas los dawał jej w dziale szczęście. Wychowana po chrześcijańsku, jako sługa u pobożnej pani w Nowym Orleanie, mało zaznała cierpień swej rasy na ziemi amerykańskiej, aż wreszcie dola jej niespodziewanie się odmieniła. Jedyne dziecko jej opiekunki, lekkomyślny młodzieniec, roztrwonił majątek rodzinny i narobił ogromnych długów. Wierzyciele zajęli cały martwy i żywy dobytek i wystawili na

sprzedaż; w skład tego dobytku wchodziły obie służebnice i murzyn z plantacji. Całą nadzieją nieszczęśliwej matki, jedyną jej modlitwą do Boga było to, żeby jej nie rozłączono z córką, Emeliną.

Pewna liczba nabywców zebrała się dokoła gromady murzynów mężczyzn, macając ich i oglądając zbliska, robiąc uwagi nad tęgością budowy ich ciała lub wadami, zupełnie tak samo, jakgdyby tu chodziło o konia, albo inne jakie juczne zwierzę.

Dwaj młodzi, modnie ubrani panowie przechodzili wzdłuż szeregów, aż wreszcie zatrzymali się przed Adolfem.

— Potrzebuję kamerdynera — odezwał się jeden. — Słyszałem, że sprzedają ludzi St. Clare'a; chciałbym zobaczyć jego kamerdynera.

— Niesobliwy interes, Alfie — zauważył drugi. — Ludzie St. Clare'a to banda próżniaków, zepsutych pieścizotami; ja tam za żadne pieniądze nie kupiłbym żadnego z nich.

— Będę im już umiał powypędząć muchy z nosa. Umiem sobie radzić w takich wypadkach — śmiejąc się, odparł tamten. — Podobą mi się ten delikacik z samej postawy. Rozumu to już ja go nauczę, pozna co to pan. Nie straszę się wobec takich przeciwności. Zostanę już przy tym i kupuję go.

Tom wpatrywał się uważnie i z niepokojem w

liczne twarze, które cisnęły się wokół niego. Która też z nich jest twarzą przysłego jego pana? Przesuwali się przed nim wielcy, mali, grubi, chudzi, wyschli jak szczapy, drągale i istne chodzące tyki, ale żaden z nich wyrazem swego oblicza nie wzbudzał szczególniejszej ufności; nie było pomiędzy nimi takiego, któremu Tom powierzyłby swój los bez niepokoju.

Kiedy licytacja miała się już rozpocząć, przecisnął się natarczywie przez tłum jakiś człowiek krępy, o szerokich barkach, muskularny. Odzież miał znoszoną, zawałaną, brudną; gruba jego kolorowa koszula była rozpięta; na okrągłej, od słońca ogorzałej głowie włos był zjeżony, jak szczecina; siwe oczy odrażająco spoglądały z pod brzydkich, rudawych brwi. W wielkich, zmysłowych, zwierzęcych wargach trzymał prymkę tytoniu, a małe żółte plamy na rękach, obrosłych włosami, — brudnych jak cała postać — świadczyły o prawdziwie olbrzymiej sile.

Dreszcz przebiegł po ciele Toma, gdy ujrzał tego człowieka, zbliżającego się ku gromadzie, w której stał, i zabierającego się do oglądania jej w sposób jaknajbardziej drozbiazgowy a grubijański. Wziął Toma pod brodę, roztworzył mu usta, jak koniowi, aby zobaczyć zęby, rozciągnął ramiona, aby wypróbować mięśnie, obrócił go wokół i kazał mu zro-

bić kilka skoków, aby poznać głębokość i zwinność jego postaci.

— Skąd jesteś? — zapytał oschle, surowo, po skończonych oględzinach.

— Z Kentucky, panie.

— Do czego cię używano?

— Zarządzałem majątkiem pana..

— Ktoby tam uwierzył? — odparł jegomość i poszedł dalej.

Zatrzymał się przed Adolfem i obrzucił go pogardliwym spojrzeniem; pilnie za to; z żywym zajęciem przyglądał się mulatce i jej córce. Dziewczę odskoczyło trwożliwie, gdy jej dotknął brutalnie.

Rozpoczęła się wreszcie licytacja. Adolfa za wysoką cenę kupił ów młody lalkowaty strojniś, któremu odrazu wpadł w oko. Inni ludzie St. Clare'a podostawali się w rozmaite ręce. Przyszła kolej na Tomasa. Wszedł na pieniek i rzucił trwożliwy wzrok dookoła. W ogłuszającym zgiewku nie mógł sobie nawet zdać dobrze sprawy z całej procedury licytacyjnej. Szybko jedne po drugich odzywały się coraz wyższe zaofiarowania, to w angielskim, to we francuskim języku, a w przerwach pomiędzy nimi dyrektor licytacji zachwalał Toma.

Nie minęła chwila, a już rozległo się ostatecznie uderzenie młotka i głos auctioneera z przybi-

tą ostatecznie ceną. Tom usłyszał już tylko wyraz dolarów. Ściągnięto go z pieńka, mały beczkowaty człowiek chwycił go za ramię, pchnął na bok i gburowato rzekł:

— Stań tam!

Tom miał już tedy pana.

Sprzedaż szła dalej. Teraz stanęła na pieńku mulatka. Jakiś człowiek, przyzwoicie ubrany, średniego wieku, ujmującej powierzchowności, został jej nabywcą. Mulatka posłała ku niemu bolesne spojrzenie.

— Och, dobry panie, kup pan również i moją córkę! — zawołała błagalnym głosem.

— Kupiłbym chętnie, ale lękam się, czy cena nie będzie nazbyt wygórowana i czy starczy mi pieniędzy.

Teraz Emelina idzie pod młot. Nieśmiało, trwożliwie wiedzie wzrokiem dokoła; krew rumieni blade zazwyczaj jej policzki. Matka z niepokojem spostrzega, że dziecko jej wygląda piękniej, niż kiedykolwiek. Prowadzący licytację korzysta z okoliczności, wychwalała zalety dziewczęcia wprawnym językiem, cena szybko podnosi się w górę. Dobrotliwy człowiek, który z początku licytował razem z innymi, teraz już musi się wycofać i milczy. Tylko stary jakiś arystokrata i ów człowiek, wyglądający

jak baryła, walczą jeszcze z sobą. Grubas okazuje się człowiekiem twardego karku, nie daje się przelicytować. Młotek spada — dziewczę staje się jego własnością.

Nowy jej pan nazywa się Legree i jest posiadaczem plantacji bawełny nad Red River. Zapędzona do wspólnej gromady z Tomem, daremnie zalewa się łzami. W innym zupełnie kierunku oddala się razem z nabytymi przez siebie niewolnikami ten, kto kupił jej matkę. Boli go to, że musiał rozłączyć matkę z córką, ale nie mógł temu zapobiedz, a gdy się coś już stało, niczego nie można odrobić. Dzieją się takie rzeczy codziennie — i zbyt ciężkiem sercem przyjmować ich nie potrzeba.

x

ROZDZIAŁ X

Po długiej podróży w górę Red River plantator wyładował swój ładunek w małym mieście portowem.

Ruszono w dalszą drogę.

Tom razem z towarzyszami niedoli musiał się wlec za lichym wozem po drodze raz kamienistej, to znowu bagnistej. Wszyscy upadali ze znużenia. Na przedzie bryki siedział Szymon Legree, tył zajmowały tłumoki, wpośród których znalazło się jeszcze trochę miejsca dla Emeliny i jakiejś mulatki, skutej razem z nią. Plantacja Legree'go leżała dość daleko od brzegu. Przez puszcze sosnowe, gdzie tylko jeźdzał wiatr, prowadziła wcale niezwykła droga, sprawiająca wrażenie ponurej pustki. Gdy las się skończył, zaczęły się bagna i trzęsawiska, a droga szła długimi groblami. Gęstsze krzaków cyprysowych porastały na błotnistym gruncie, gdzieś strzelał z nich jakiś wynioślejszy pień, opleciony drzewiastym powojem. Na ziemi leżały powywracane olbrzymie leśne i gniły w wodzie, czołgały się po nich wstrętne węże i odrazę wzbudzające robactwo; zresztą żadnego żywego stworzenia.

Prawdziwa droga zatracenia! Czuje to już podróżny, któremu interesa każą na dobrym koniu, z obfitym zapasem żywności w torbie przebyć tę pustkę; a o ile smutniejszą wydawać się ona musi biedakom, którzy z każdym krokiem, wśród coraz większego znoju, coraz bardziej oddalają się od wszystkiego, co im było drogie, miłe, a przynajmniej znośne!

Zupełne przygnębienie znać było na ciemnych twarzach kroczącej czeladki p. Legree'go. On sam tylko nie tracił humoru. Siedząc wygodnie w bryce, zaglądał często do flaszki, ciągnąc z niej łykami, które dawały o jego gardle wyobrażenie, odpowiadające siłę pięści. Takie ciągle pokrzepianie się wyrabiało w nim coraz większą wesołość, coraz częściej zwracał wzrok na Emelinę, która przypięła się do mulatki, jakby do matki rodzonej, tak ją strach ogarnął od tych spojrzeń pana Legree'go.

— No, mała — odezwał się wreszcie do niej śmiejąc się i pokazując zęby — niezadługo już będziemy w domu — i dotknął jej ramienia

Emelina wdrygnęła się, jakby ją uderzył pięścią.

— Nie nosiłaś widać nigdy kolczyków, — zaczął znowu ze wstrętną swoją uprzejmością — poczekaj, dam ci w domu parę co się zowie pięknych! Będzie ci u mnie dobrze, nie lękaj się tylko, nie będziesz potrzebowała ciężko pracować — pogłaskał ją po

twarzy — musisz być tylko dobrą dziewczyną. Rozumiesz?

Emelina nie wiedziała, czy łaskawość pana Legree'go tłómaczyć częstem zaglądaniem do butelki, czy też zalotami.

Wreszcie ukazały się pierwsze opłotki plantacji. Majątek należał niegdyś do człowieka bogatego, który z oglądą łączył wykwinny gust i dużo zrobił dla przyozdobienia swego miejsca pobytu, ale zarazem i rujnował swoje mienie. Gdy umarł, wierzyciele sprzedali osadę za marne pieniądze. Nabył ją Legree, a temu szło już tylko o wyciągnięcie z niej jaknajwiększych zysków. To też cała plantacja wyglądała jak pustkowie, widać na niej było ślady tego zaniedbania, po którym łatwo zawsze poznać, że nie istotna troskliwość, ale chciwa łapczywość na grosz stanowi główną rozpędową siłę gospodarstwa.

Gdzie dziś zieleni się na dziedzińcu przed dworem trawa, skoszona przy samej ziemi, tam niegdyś kwitły ozdobne krzewy. Niema już nawet ich śladu, rosną tylko kępy jakiegoś chwastu lub sterczą pale do przywiązywania koni. Ziemia zavalona potłuczonymi garnkami, śmieciem, rupieciami, koczanami kukurudzy i wszelkiego rodzaju obierzynami. Piękne kolumny dworu służą teraz za słupy do wiązania koni, Caprifoljum i jaśmin w zdziczałym stanie przypomi-

nają jeszcze dawne, minione czasy; w zapuszczonym ogrodzie zielsko głuży to, czego nie dobiło jeszcze niedbalstwo ludzkie; zrzadka gdzieindziej strzela w górę jaka piękna, egzotyczna roślina. Z cieplarni po-
wyjmowano okna, bo były potrzebne gdzieindziej; na
pogniłych deskach stoją tylko suche badyle. W do-
niczках widnieje sucha ziemia; niegdyś były tu roś-
liny, teraz tylko kępy poschłych gałązek.

Bryka toczyła się aleją, usypaną żwirem, z po-
którego, korzystając z ludzkiego niedbalstwa, wydo-
bywała się trawa. Po bokach zieleniły się piękne, nie-
wycięte jeszcze drzewa chinowe, urągając gnuśności,
która nie dbała o nie wcale i nic sobie nie robiąc z nie-
ładu i zniszczenia, panującego dookoła. Były one, jak
te dusze szlachetne, które tak głęboko wrosły w do-
bro, że żadna przeciwność, żadna przeszkoda nie zdoła
powstrzymać ich wzrostu.

Dom mieszkalny był niegdyś obszerny i ładny.
Jak jest we zwyczaju na południu, szeroka werenda
biegła w dole i na piętrze naokoło całego budynku,
a wznosiła się na słupach murowanych z cegły. Obec-
nie dwór sprawiał niemiłe wrażenie; wiele okien poza-
bijanych było deskami, w innych szyby były potłuczo-
ne, drzwi i okiennice wisiały tylko na zawiasach; gdzie
okiem rzucić leżą, wkoło gnijące beczki, paki, deski,
słoma, — wszędzie przeróżające niedbalstwo.

X

Zbudzone turkotem wozu, powyskakiwały wielkie, zjadliwe psy. Niewolnicza służba, odziana w łachmany, wybiegła za nimi i z wielkim tylko trudem powstrzymując je od rozszarpania Toma i jego towarzyszków.

— Dzielnie, tego! — wołał Legree, głaszcząc z zadawoleniem psy i zwracając się do wuja Toma i jego uczestników niedoli, dodał

— Widzicie, co was czeka, gdyby który z was pomyślał o ucieczce. Psy ułożone są do chwytania murzynów. Rozszarpać każdego z was to dla nich jakby zjeść kolację. Miejcie się na baczności!

— No, Sambo! — odezwał się wreszcie do obdarzonego murzyna, który miał na głowie kapelusz bez skrzydeł, bose nogi, a był rządcą jego majątku i po przybyciu pana dreptał dookoła niego z wielką uniżonością. — Jakże wam tutaj szło podczas mojej nieobecności?

— Doskonale! — odpowiedział murzyn, wobec którego ów błazen z Nowego Orleanu, jego imiennik, wydawał się drogocenną perłą.

— A ty, Quimbo — zagadnął Legree innego murzyna, który wszelkimi siłami starał się zwrócić jego uwagę. — Zrobiłeś wszystko, com ci kazał?

— Tak, panie, wszystko zrobione.

Obaj ci murzyni, najstarsi godnością zpośród wszystkich robotników, byli tresowani, równie jak psy,

w surowości i gburowatości, aż wreszcie stoczyli się do poziomu dzikich psów. To, że czarny nadzorca częstokroć może być niemiłosierniejszy i okrutniejszy od białego, dowodzi tylko głębokiego znikczemnienia czarnego człowieka pod wpływem takiego wychowania. Niewolnik będzie zawsze tyranem, jeśli się mu tylko da do tego sposobność. Okazuje się to nietylko na przykładzie ludzi rasy czarnej, ale na każdym upośledzonym narodzie wszędzie na świecie.

Legree miał swoją własną metodę dowiadywania się o wszystkim, co zaszło w jego majątku. Wiedział, że Sambo i Quimbo nienawidzą się jak szakale, walczące o jeden żer; wiedział, że obu ich nienawidzi znowu ogół służby. Z podobnego usposobienia jednych względem drugich korzystał Legree, podobnie, jak w dziejach świata korzystają z tego tyrani, podszczuwając wzajem na siebie swoich poddanych.

Obaj rataje stali teraz naprzeciw siebie, z iskrzącym się wzrokiem, z twarzami, dyszącymi nienawiścią i czekali na rozkazy swego pana.

— Chodź-no tu, Sambo! Pokaż tej hałastrze jej mieszkania. Masz tutaj, przywiozłem babę, którą ci przyrzekłem — i gwałtownie oderwał mulatkę od Emeliny. — A ty, mała, chodź do dworu — zakończył, zwracając się do dziewczęcia.

Tom spoglądał ze współczuciem na dziewczę i

odprowadził ją wzrokiem aż do sieni domu. Plantator zatrzasnął drzwi i urocze stworzenie zniknęło za murami, w których czekały je męczarnie, na jakie tylko okrucieństwo takich istot, jak Legree, zdobyć się może.

Tom poszedł za Sambem do mieszkań niewolników. Daleko od dworu, w czystym polu, stały rzędem nędzne lepianki samotne i opuszczone, ciche i zamarłe. Dla Toma był to widok, ściskający serce. Dotychczas pocieszał się jeszcze myślą, że znajdzie przynajmniej zaciszną chatkę, gdzie po godzinach pracy, będzie mógł przez nikogo nie niepokoiony obcować tylko ze sobą i czytywać ukochaną swą Biblię. Zaglądał do wnętrza lepierek: pustki, żadnego sprzętu, na gołej podłodze tylko kupy brudnej słomy, którą już niezliczone stopy ludzkie udeptały na twardo.

— Która chata dla mnie? — spytał pokornie Samba.

— Zobacz jeszcze, czy zdołasz się gdzie wczolgać. W każdej więcej mieszkańców, niż miejsca, ale jeszcze jeden się zmieści. Nie wiem naprawdę, gdzie ja to wszystko podzieję!

ROZDZIAŁ XI

W krótkim czasie Tom oswoił się ze wszystkim, czego w nowem swem życiu miał się spodziewać lub obawiać. Był wprawnym, dzielnym robotnikiem, któremu robota paliła się pod ręką, a przytem wiernym i pracowitym, tak z nawyknięcia, jak i z zasad moralnych. Spokojny, cichy, spodziewał się, że niezmordowaną pilnością zdoła oddalić od siebie to co w jego położeniu mogło być złem największem. Widok tak wielkiej nędzy i poniewierki mógł wprawdzie budzić w nim odrazę i wstręt do życia, ale postanowił cierpliwością opanować wrażenia i zdać wszystko w pokorze na Najwyższego Sędziego w niebie, który zawsze sprawiedliwie osądzi. Liczył przytem jeszcze na możliwą sposobność do ucieczki.

Legree pocichu poznawał się na Tomie, widział jego użyteczność i przyznawał przed samym sobą,

że takiego robotnika dotychczas jeszcze nie miał. Mimo to czuł do niego tajemną odrazę, jaką zły pała zwykle do dobrego. Kiedy w obecności jego obchodził się okrutnie ze słabymi i opuszczonymi, którzy znikąd nie mogli się spodziewać pomocy, widział jasno, że Tom boleśnie to odczuwa. Ta litość bez słów, okazywana w delikatny sposób towarzyszym niedoli przez starego murzyna, budziła w plantatorze nienawiść; patrzył na niego zawistnem okiem, aby mu przy najpierwszej sposobności dać poczuć ciężar swej ręki.

Tomasza kupił sobie Legree na to, aby mieć z niego czasem nadzorcę nad niewolnikami i zostawiać go w zastępstwie samego siebie na czas krótkiej zresztą nieobecności, na jaką sobie pozwalał w swym plantatorskim zawodzie. Ale do podobnego urzędu potrzebna była surowość i zupełna nieczułość, a pobożny murzyn był jeszcze bardzo daleki od spodlenia. Legree jednak miał i na to sposób i w kilka tygodni po sprowadzeniu Toma na plantację postanowił ten sposób zastosować.

Pewnego rana, podczas przeglądu robotników przed wyruszeniem ich w pole, wuj Tom, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, zauważył jakąś obcą osobę o niezwyklej powierzchowności. Była to kobieta, wyso-

kiego bardzo wzrostu, smagła, o delikatnych rękach i nogach, w schludnej odzieży. Mogła mieć lat 35 lub 40. Czoło białe i wysokie, brwi pięknie wyrysowane nad ogromnemi oczyma, nos i usta delikatnie wykrojone, wdzięczne zarysy głowy i szyi świadczyły, w związku z innemi cechami, że musiała być niegdyś piękną. Na twarzy jej wypisana była duma połączona z boleścią, czoło jej pokryły głębokie zmarszczki, policzki zapadły. Błada cera, nienaturalne kolory kazały się domyślać wielkiego osłabienia; rysy były ostre, cała postać, jakby zwiędła, chyląca się do upadku, a z wielkich czarnych oczu, ocienionych długimi rzęsami, wyglądała bezgraniczna, beznadziejna rozpacz. Zresztą w każdym ruchu jej postaci, w pogardliwie odętych wargach, w każdym rysie oblicza znać było wyzywającą dumę i tylko w oku można było wyczytać niezgłębiony ból, na który niema już ukojenia, ani ratunku.

Tomasz nie wiedział kim jest ta kobieta i skąd pochodzi, ale inni musieli ją widocznie znać i spoglądali na nią nawet, z jakąś utajoną radością. Ale kobieta nie robiła sobie nic z szyderczych spojrzeń i uwag, któremi w nią godzono; szła z gniewną pogardą, z głową podniesioną do góry. Tom, który zawsze żył wśród ludzi wyższej sfery obyczajowej i społecznej, czuł, patrząc na tę kobietę, że właśnie

z tej sfery musiała pochodzić — ale co ją mogło doprowadzić do takiej nędzy?

Jak zawsze, tak i tego dnia stary był przy robocie pilny, ale niekiedy nie mógł się wstrzymać od rzucenia ciekawym wzrokiem na nieznajomą, która znajdowała się w niewielkiej od niego odległości. Z podziwem patrzył, jak wrodzona zręczność i zwinność ułatwiają jej zadanie. Zrywała bawełnę prędko, a wybierała tylko czystą, ale przytem w całym jej zachowaniu widać było milczące lekceważenie zajęcia, które jej narzucono. Zdawała się okazywać, że jest wyższą i nad tą robotę i nad to, co nowe jej położenie miało w sobie upokarzającego.

Gdy Tom spotkał się w ciągu dnia z mulatką, z którą go razem kupiono, zauważył, że kobieta musi być bardzo niezdrową: drżała, chwiała się, zdawało się, że lada chwila upadnie. Milcząc, wziął ze swego koszyka kilka garści bawełny i włożył do koszyka mulatki, która podziękowała mu za to spojrzeniem. W tej chwili nadbiegł Sambo.

— Co robisz, Lucy?—zawołał, odtrącając ją na bok i jednocześnie bijąc wuja Toma batem przez twarz.

Murzyn zniósł ból i zacisnąwszy usta pracował w milczeniu dalej.

Nieznajoma widziała całe zajście, wpila swoje wielkie czarne oczy w Tomasza, przystąpiła do niego

i przełożyła kupę bawełny ze swego kosza do kosza murzyna.

— Nie wiesz, gdzie jesteś; gdybyś wiedział, myślałbyś tylko o sobie. Pobądź tylko jeszcze z miesiąca, a będziesz szczęśliwy, jeśli sam będziesz czuł zdrową jeszcze skórę na grzbiecie, i odbiegnie cię chęć dopomagania innym.

— Zdaję się na łaskę Boską, missis — odrzekł wuj Tom do swej towarzyszki pracy, mimowoli, przemawiając z uszanowaniem.

— Łaska Boska? Wierz mi, że wzywasz jej tu nadaremnie — odparła nieznajoma z goryczą w głosie i odeszła do swej roboty.

Ale nadzorca już ją podpatrzył.

— Co to znaczy — zawołał, wywijając biczem. — Co tu masz za interes? Dalej, ruszaj! Teraz ja ci rozkazuję. Pilnuj się, bo będzie źle!

Z czarnych oczu błysnęła nagle wściekłość i pogarda dla tego poganiacza ludzi. Wyprostowała się dumnie i zmierzyła okrutnika gniewnym wzrokiem.

— Człowieku — rzekła — ośmiel się tylko tknąć mnie. Mogę cię jeszcze oddać psom na pożarcie, spalić cię żywcem, posiekać cię w kawały — gdy tylko zechcę. Strzeż się!

Człowiek, którego tak potraktowała, odskoczył jak oparzony.

— Nie miałem nic złego na myśli, miss Kassy — szepnął na uniewinnienie.

— No, to nie włącz mi w drogę! — krzyknęła kobieta, i poganiacz ludzi oddalił się, rad, że umknąć może, w inną stronę pola.

Praca szła teraz nieznajomej jeszcze sporzej niż przedtem. Jakby na czarodziejskie zaklęcie, koszyk jej napełniał się coraz bardziej; ugniotła bawełnę i napełniła go nanowo — nie знаła wytchnienia.

Noc zapadła. Znużona gromada ludzka z koszami na głowach podążyła do budynku, w którym zebrana bawełnę zważono i przyjęto na przechowanie.

Legree prowadził żywą rozmowę z obu nadzorcami.

— Tom pobuntuje nam jeszcze murzynów — uskarżał się Sambo — kładł ciągle bawełnę do kosza Lucy i tłumaczy murzynom, że źle się tu z nimi obchodzą.

— Ha, łotr! — wrzasnął, zaciskając zęby, plantator. — Ale już ja go nauczę! Przeznaczę go do wymierzenia chłosty na winnych: będzie to dla niego ćwiczenie dla wprawy. Na początek niech pod jego bat idzie ten leniuch Lucy.

— Dobrze, proszę pana, ale razem z Tomem miss Kassy dorzucała Lucy bawełny do kosza; kosz będzie chyba trzymać wagę.

— Ja będę ważyć — wycedził Legree z naciśkiem. — Ja będę ważyć.

Zwolna, ociężałe ściągali robotnicy do wagi i oddawali swe kosze. Na tablicy z imionami niewolników Legree wpisywał liczbę kilogramów. Zważono kosz Toma: trzymał wagę. Stary, niespokojnie się rozglądając, czekał co też będzie z mulatką, którą się zajął. Kosz jej miał wprawdzie przepisaną wagę, ale nie przeszkodziło to plantatorowi wrzasnąć z udanym gniewem:

— Co? ty leniwe stworzenie! Znowu za mało! Stań tam, pomówimy jeszcze ze sobą.

Kobieta głucho stęknęła i osunęła się na ławkę. Przyszła teraz kolej na miss Kassy, jak ją nadzorca Sambo nazwał. Legree spojrzał na nią szyderczym, ale zarazem i badawczym wzrokiem. Ona tymczasem stawiała kosz, jakby nie robiąc sobie nic z całej tej kontroli. Kosz jej ważył najwięcej ze wszystkich. Z dumnym lekceważeniem, widocznym w postawie i w ruchach, odeszła.

— Teraz chodź tutaj — zwrócił się Legree do Toma. — Powiedziałem ci już pierwej, że nie kupiłem cię do zwykłej roboty. Chcę cię wziąć do nadzoru i jeszcze dziś obejmiesz swe czynności. To oto nędzne stworzenie ma dostać chłostę. Widziałeś już nieraz, jak się to robi; z czasem się wprawisz.

— Wybacz, panie, ale nie wymogę tego na sobie; nie nawykłem do tego, nigdy tego nie robiłem, to nad moje siły.

— Tak? Nad siły! Nie możesz? Zobaczymy! Nauczysz się jeszcze niejednej rzeczy! — zawołał Legree i cały grad ciosów zaczął po chwili spadać na plecy i głowę Toma.

— No, jakże teraz? — spytał, wstając, aby zaczerpnąć tchu. — Jesteś już chyba gotów?

— Panie, będę ciężko pracować dzień i noc, jeśli już tak być musi, i dopóki wytrzymam; ale bić to biedne, chore stworzenie — nie, do tego jestem niezdolny. Czuję, że byłaby to niesprawiedliwość; nie zrobię tego nigdy, nigdy!

Dotychczas Tom przemawiał zawsze do pana z szacunkiem i właściwą sobie łagodnością; Legree wniósł, że jest tchórzem i że go łatwo złamie. Napotkany opór rozsrożył go teraz aż do szału.

— Jakto? Ośmielasz mnie się powiedzieć, że nie uważasz za dobre tego, co ci nakazuję zrobić? Czy nie jestem już twoim panem? A ty, czy nie należysz do mnie duszą i ciałem? — i kopnął starego ciężkim, okutym butem.

Mimo bólu i grubiańskiego obojętstwa, promień radości zakwitł w sercu Tomasza. Podniósł się i spojrział ku niebu:

— Nie, nie, dusza moja nie należy do ciebie panie, duszy mojej nie kupiłeś! Należy ona do mojego Boga i Zbawiciela i tobie, panie, nic do niej!

— Naprawdę nic? — zaśmiał się szyderczo Legree. — No, zobaczmy! Chodźcie-no tu Sambo i Quimbo, brać go, tego zuchwalca! Niech poczuje siłę waszych ramion, aby nieprędko zapomniał!

Dwaj murzyni, rośli jak dęby, przyskoczyli z dziką radością do nieszczęśliwej ofiary i porwali ją między siebie. Biedna mulatka jęczała zachrypłym głosem, wszyscy niewolnicy patrzeli ze wstrzymanym w piersiach oddechem, z trwogą wielką, jak oprawcy wloką wuja Toma na dwór.

— Wybacz, panie, ale nie wymogę tego na sobie; nie nawykłem do tego, nigdy tego nie robiłem, to nad moje siły.

— Tak? Nad siły! Nie możesz? Zobaczymy! Nauczysz się jeszcze niejednej rzeczy! — zawołał Legree i cały grad ciosów zaczął po chwili spadać na plecy i głowę Toma.

— No, jakże teraz? — spytał, wstając, aby zaczerpnąć tchu. — Jesteś już chyba gotów?

— Panie, będę ciężko pracować dzień i noc, jeśli już tak być musi, i dopóki wytrzymam; ale bić to biedne, chore stworzenie — nie, do tego jestem niezdolny. Czuję, że byłaby to niesprawiedliwość; nie zrobię tego nigdy, nigdy!

Dotychczas Tom przemawiał zawsze do pana z szacunkiem i właściwą sobie łagodnością; Legree wniósł, że jest tchórzem i że go łatwo złamie. Napotkany opór rozsrożył go teraz aż do szału.

— Jakto? Ośmielasz mnie się powiedzieć, że nie uważasz za dobre tego, co ci nakazuję zrobić? Czy nie jestem już twoim panem? A ty, czy nie należysz do mnie duszą i ciałem? — i kopnął starego ciężkim, okutym butem.

Mimo bólu i grubiańskiego obejścia, promień radości zakwitł w sercu Tomasza. Podniósł się i spojrział ku niebu:

— Pij, ile się zmieści. Wiedziałam dobrze, co cię czeka. Nieraz już nocną porą nawiedzałam katowanych, aby łagodzić cierpienia, podobne do twoich. Pij, dobry człowieku.

— Dziękuję pani — jęknął Tom, gdy już zaspokoił pragnienie.

— Nie nazywaj mnie panią, bo jestem tylko niewolnicą i o wiele nędzniejszą od ciebie — odpowiedziała.

Potem wyciągnęła mały worek ze słomą, pokryty wilgotnem prześcieradłem i rzekła:

— Spróbuj przeczłgać się na to łoże; będzie ci na niem lepiej.

Z trudem tylko zdołał Tom, cały obolały spełnić co zleciła; całe ciało miał pokaleczone i okryte sińcami i guzami. Wilgotne posłanie przyniosło ulgę piekącym ranom. Kassy nie poprzestała na przygotowaniu mu nowego posłania, ale przedsięwzięła jeszcze środki kojące. Długoletnia wprawa w pielęgnowaniu chorych pozwoliła jej poznać i stosować wszelkie środki lecznicze.

— Czujesz, że ci lepiej, nieprawdaż? — spytała ze współczuciem i podsunęła pod głowę pęczek bawełny.

Wuj Tom podziękował jej bardziej wzrokiem, niż słowami.

Przysiadła się do jego posłania na ziemi, spłotła rękami kolana; długie, czarne włosy okalały posępne jej oblicze.

— Dzielny z ciebie człowiek — rzekła — ale wszystko to nadaremno. Wyrodek ludzkości ma siłę; próżno z nim walczysz. Z mocy tego czarta nic cię nie zdoła wybawić, on silniejszy: poddaj się jego woli.

Tom, udręczony cierpieniami ciała, słaby i szarpany już rozpaczą, we własnem wnętrzu słyszał taki sam kuszący głos: „Poddaj się!“ Prawdę, którą Kassy z ponurym błyskiem w oku powiedziała mu przed chwilą, on sam aż nadto dobrze widział w swoim rozumie, i poznanie jej było największą dla niego męką.

— O, Boże — stęknął — jakże ja mogę tak wielką krzywdę brać na swe sumienie?

— Co ty tu wzywasz Boga? On ciebie nie słyszy, — odezwała się kobieta głosem dziwnej stanowczości. — Jeżeli mieszka w niebiosach, to zapomniał o nas i nie dba o nasze cierpienia i niedole.

Dreszcz przejął wuja Toma; przymknął oczy: zdawało mu się, że stanął nad otchłanią i patrzy w czarną jej paszczę.

— Dla ciebie to jeszcze coś nowego, nieznanego—
mówiła dalej — nie wiesz co czynisz. Ale ja znam
to potępione miejsce, znam tyrana, który mnie już
od pięciu lat trzyma w swej mocy. Jakże go nienawidzę!
Pomyśl, że jesteś na odludnej plantacji, w od-
ległości dziesięciu mil od siedzib ludzkich, wśród bag-
nisk. Nigdzie żywej duszy, nigdzie białego człowieka,
któryby mógł zaświadczyć co spotkało ciebie. Niema
żadnego boskiego ani ludzkiego prawa, któreby cię
osłoniło przed wściekłością i srogością człowieka,
zdolnego zgotować ci śmierć w najokropniejszych
męczarniach. Nie znam żadnej niegodziwości, przed
którąby się wzdrygnął ten człowiek. Wszelki opór
jest nadaremny. Wierz mi, sama to na sobie pozna-
łam.

Tu z piersi kobiety wyszło westchnienie i
przerażającym echem odbiło się o stare mury.

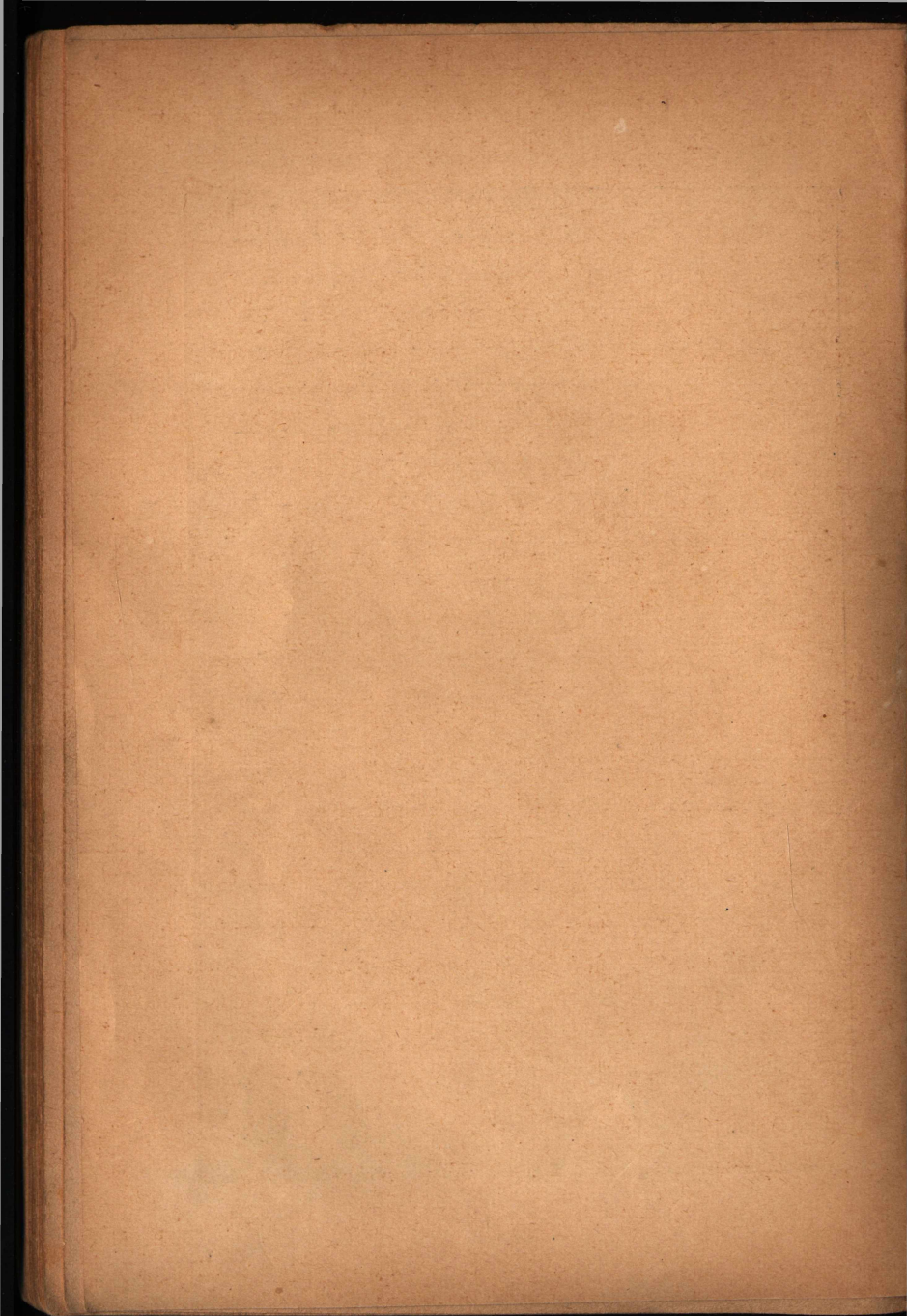
Tom załamał ręce; wokół niego, w duszy jego
wszystko było przerażeniem i ciemnością.

— Jezu, Jezu — zawołał — pomocy, ratunku,
bo upadam!

Przez chwilę w ponurej izbie słychać było tyl-
ko oddech dwojga ludzi. Potem Tom rzekł przytłu-
mionym głosem:

— Tam leży moje ubranie; rzucili je w kąt.





W kieszeni jest moja Biblja. Czy nie byłaby pani tak dobrą, żeby mi ją przynieść i odczytać coś z niej.

Kassy spełniła jego prośbę. Wuj Tom otworzył Bibliję na historii męki Pana Jezusa i podał ją swojej opiekunce. Czytała ją łagodnie, dźwięcznie, z pięknym, wzniosłym nastrojem. Niekiedy głos odmawiał posłuszeństwa, niekiedy zupełnie zamierał; wtedy przerywała czytanie, aby opanować swe wzruszenie. Przy słowach: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią“ — odłożyła książkę, zakryła sobie twarz rękoma i zaczęła głośno, gwałtownie szlochać. Tom zapłakał również; z piersi jego wzbilo się ku niebu natarczywe wołanie: „Panie, Panie, pośpiesz mi z pomocą, zlituj się nad nami!“ A po chwili, jakby nawiązywał słowa, wymówione głośno, do myśli snutych w tajnikach duszy, rzekł:

— Nie, proszę pani, Bóg nie zapomniał o nas, jestem tego pewien. Niema tego pohańbienia, którego On, Pan nad Pany, nie doznał na ziemi; a jeżeli jego znieważano, lżono i bito, czy mamy prawo dziwić się, że i na nas spada takie samo cierpienie? Powinniśmy iść za Nim, silnie się Go uchwycić i oddać Mu się, jak dobremu pasterzowi i nieomylnemu przewodnikowi w życiu. To nasz obowiązek, nie zaś uległość dla grzechu! Przez walkę tylko dochodzi się do zwycięstwa.

— A jeżeli zaczną cię nanowo dręczyć i męczyć, czy nie będziesz musiał wkońcu ulec?

— Pan weźmie moją duszę pod swą obronę, dopomoże mi i przebiję się z Nim przez zastępy mych wrogów. Wszystkiego się wyrzekam: żony, dzieci kraju rodzinnego, wiernych przyjaciół! Ciało moje może umrzeć, ale Nieba nikt mi nie wydrze.

— Wszystkiego się wyrzekłeś? — pochwyciła ponurym głosem Kassy. — Tak, to samo uczyniłam i ja. Wyrosłam kiedyś w zbytkach; jako dziecko bawiłam się we wspaniałych komnatach, w pięknym ogrodzie pod pomarańczowemi drzewami. Potem posłano mnie na wychowanie do klasztoru; nauczyłam się po francusku, nauczyłam się muzyki, haftu i wielu innych rzeczy. Wyszłam z klasztoru na pogrzeb mego ojca: zmarł nagle, a przy regulacji spadku uznano konieczność sprzedania majątku razem z całym ruchomym dobytkiem. Zaciągnięto i mnie do inwentarza, matka moja bowiem była niewolnicą; ojciec mój często przyrzekał jej wolność, ale ciągle odwłóczył wystawienie aktu urzędowego; nie przeczuwał, że śmierć go tak prędko zabierze. Mnie los się uśmiechnął; dostałam się na plantację do człowieka uprzejmego, który jaknajlepiej obchodził się ze mną i zjednał sobie moje przywiązanie — był taki piękny, dobry, szlachetny! Miałam sługi, konie, powozy,

wspaniałe sprzęty i stroje; ale mało do tego przywiązywałam wagi: wystarczało mi to, że kocha mnie mój mąż i że jesteśmy z sobą szczęśliwi. Przez całe siedem lat żyłam tylko dla niego, wyczytywałam mu z oczu jego myśli, starałam się jemu tylko podobać. Mieliśmy dwoje ładnych dzieci: syna, Henryka, — który był żywym portretem ojca: jego oczy, bujne, okolające czoło włosy, ognisty temperament, wielkie zdolności — wszystko. Mała Eliza była znowu podobną do mnie. Często mąż mój mówił, że jestem najpiękniejszą kobietą w całej Luizyanie i był dumny ze swych dzieci. Naraz z jasnego nieba padł grom. W ciągu kilku dni żółta febra zabrała mi ukochanego; starania moje, troski, trudy, noce bezsenne — wszystko poszło na marne. Musiałam stać przy jego trumnie i lać palące łzy i w łzach tych wydawać duszę samą z siebie. Przyjechał do Nowego Orleanu jakiś krewny nieboszczyka. Henryk uważał go za najlepszego swego przyjaciela; ale on w ten sposób używał wpływu swego na Henryka, że odводził go ciągle od zapewnienia przyszłości mnie i dzieciom. Teraz z zimną krwią oświadczył mi, że cały majątek spada na niego prawem dziedzictwa i że jest moim panem. Kiedy z oburzeniem przypomniałam mu miłość Henryka i prawa, jakich nabyłam — on roześmiał się szyderczo i rzekł, że to wszystko minęło; układa się

już o sprzedaż z człowiekiem, chcącym nabyć plantację, i że będę sprzedana temu człowiekowi razem z dziećmi. Ogarnęła mnie rozpacz, byłam jak szalona. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Dziś przypominam sobie tylko, że na stole leżał wielki nóż: porwalam go i rzuciłam się na mego gnębiciela. Czarna noc przysłała mi, potem światło dzienne. Upłynęło wiele dni, nim odzyskałam świadomość.

Odpoczęła chwilę, westchnęła głęboko i mówiła dalej:

— Leżałam w pokoju, który nie był moim, — poznałam to odrazu. Byłam chora; pielęgowano mnie — wyzdrowiałam. Ach, czemu wtedy nie umarłam! Spytałam o dzieci: wydarto mi je, poszły między ludzi — zostały sprzedane! Nikt mnie mógł mi powiedzieć, czy nie chciał — dokąd? I ja dostałam się jakiemuś panu jako niewolnica. Zgryzota i gniew podkopywały mi zdrowie, zestarzałam się przed czasem, zwiędłam i drogą ciągłych sprzedaży przechodziłam z ręki do ręki; w końcu kupił mnie ten niegodziwiec i sprowadził tutaj. O, jeżeli jest Bóg, jakże może patrzeć na nas z wysokości swoich i pozwalać nam na zapadanie w coraz większą nędzę! Siostry w klasztorze mówiły często o dniu sądu, kiedy wszystko, co było pogrążone w ciemnościach, wyjdzie na światło.

Czy też będzie kiedy odplata i pomsta za tę wołającą do Nieba krzywdę, która nam się dzieje?

Całe to wyznanie powiedziane było szybko, namiętnym, dzikim głosem. Nieszczęśliwa kobieta albo zwracała się do Toma, albo mówiła sama do siebie. Potęga jej słów była tak wielką, że Tom, zapominając o własnych swych cierpieniach, podparty na łokciu, wsłuchiwał się bez tchu, bez jednego drgnienia. Nagle podniosła się i w gwałtownem wburzeniu z rozpuszczonym włosiem zaczęła chodzić tam i napowrót po szopie.

— Złe duchy ścigają mnie dniem i nocą — mówiła — i napędzają na myśl, żebym wreszcie posłała swego dręczyciela, tam gdzie jest jego miejsce, choćbym miała to przypłacić własnem życiem.

Szał błysnął z jej czarnych, głęboko patrzących oczu; zaciśnęła pięść i wybuchnęła jakimś nieludzkim, przeciągłym śmiechem, który w przerażający sposób wstrząsnął pustką. Potem zaczęła konwulsyjnie łkać i jęcząc rzuciła się na ziemię. Ale napad szału przeminał; zwolna powstała, podeszła do Toma i spytała go innym już zupełnie głosem:

— Czy nie mogłabym jeszcze coś uczynić dla ciebie, biedny mój przyjacielu? Przyniosę ci jeszcze trochę wody.

Tom napił się chciwie, a potem poważnie i ze współczuciem spojrział jej w twarz:

— Missis — rzekł — Zbawiciel, o którym mi czytałaś, ma u siebie źródło wiecznego żywota: idź do Niego, On cię orzeźwi.

— Nie — zawołała Kassy, kładąc rękę na piersiach, które ciężko się uniosły i opadły. — Brzemie moje jest już za wielkie!

Tom chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ona stanowczym ruchem ręki zamknęła mu jakby usta i rzekła:

— Staraj się zasnąć, jeżeli możesz.

Potem postawiła mu wodę tak, aby mógł sięgnąć po nią, opatrzyła jeszcze drobne jego potrzeby i zostawiła go samego.

ROZDZIAŁ XIII

Nazajutrz Legree zbudził się po niespokojnym śnie i dręczących marzeniach sennych. Przespał resztę nocy na krześle, tak jak siedział przed odprawieniem obu czarnych, po wspólnej pijatyce.

— Prawdziwie piekielna noc — zawołał na widok wchodzącej Kassy.

Kobieta zabrała się do porządkowania izby, w której panował straszliwy nieład.

— Nic dziwnego — odpowiedziała oschle.

Zamiatała przez chwilę izbę; potem rzekła:

— Pozwól sobie powiedzieć, Szymonie, nie znęcaj się tak nad Tomem. Zapłaciłeś za niego drogo i teraz pozbywasz się samowolnie jego rąk w porze najgwałtowniejszej roboty.

— Co się wtrącasz do moich interesów?

— Czy nie oszczędziłam ci już kilku tysięcy dolarów przez to, że dbałam o twoich ludzi? Pomyśl tyl-

ko, jak Tomkins i inni plantatorowie natrzęsać się z ciebie będą jeżeli na targ przywieziesz mniej niż oni? Na dobitkę przegrasz jeszcze zakład i będziesz musiał sięgnąć aż do dna worka, aby ich spłacić.

Kassy z bystrością swego umysłu dostrzegła jedyną stronę, z której można było wziąć Legree'go. Miała tę ambicję, żeby zawsze zjeżdżać z najobfitszym zbiorem do pobliskiego miasta, i porobił różne zakłady na tegoroczny zbiór. Postanowił zatem umorzyć sprawę Toma i pozwolił Kassy wypróbować na nim swoją sztukę leczenia, aby jaknajprędzej mógł iść w pole. — Co się odwlecze, to nie uciecze — pomyślał sobie — dzień obrachunku ze starym łotrem jeszcze kiedyś nadejdzie. Ośmielił się stawiać mi upór: nie zapomnę mu tego nigdy.

Jeszcze Tom nie odzyskał sił, kiedy już Legree nakazał mu wrócić do porządnej prawidłowej pracy. Rozpoczęły się znowu dla biedaka dni bezsilności i cierpień fizycznych i następowały po sobie niemiłosty, a pomysłowa złośliwość niesprawiedliwego pana umiała mu i tak już ciężki los czynić na wszelki sposób jeszcze uciążliwszym.

Ponieważ praca nie czekała, niewolnicy nie mieli więc wypoczynku nawet w niedzielę. Dawniej znajdował jeszcze Tom po powrocie z całodziennej roboty zadowolenie w czytaniu Biblii i codzień odczytał so-

bie parę wierszy przy tlejącem ognisku; ale od chwili doznanego okrucieństwa, powracał tak bezsilny, że mógł już tylko tak jak inni, zawlec się do domu i paść na swój barłóg.

Dziwić się tedy nie można, że ta ufność, ugruntowana w wierze religijnej, która dotychczas podtrzymywała Toma, chwiać się teraz zaczęła, umysł stępiał i ogarnęło go zniechęcenie do wszystkiego. Zagadka życia wydawała mu się nierozwiązalną; niesprawiedliwość odniosła zwycięstwo, złe tryumfowało,—i Bóg na to pozwolił. Uciemiężeni daremnie Go wyglądali, pomoc Jego nie przybywała. Niekiedy padał jeszcze promień nadziei w posępny umysł Toma: przypominał sobie list miss Ofelji do przyjaciół w Kentucky i modlił się żarliwie, aby Bóg mu zesłał wybawienie. Dlaczego nie miały się kto zjawić, żeby go wykupić, dlaczego nie miały odzyskać tak gorąco upragnionej wolności? Ale mijały tygodnie i miesiące, a wybawca nie zjawił się wcale.

Pewnego wieczoru siedział Tom ostatecznie już przygnębiony i wycieńczony. Na kominku dopalały się węgle. Dorzucił kilka gałązek do ognia i wyciągnął z kieszeni ukochaną swą książkę. Ponaznaczane miał w niej wszystkie miejsca, które go tak często chwytaly za serce, słowa partjarchów i proroków, poetów i myślicieli, którzy po wszystkie czasy dodawali od-

wagi wąpiącym i prowadzili ich na walkę życia. To, co go tak często podnosiło na duchu, teraz już nie mogło rozpać ognia w zamglonych jego oczach, po-
budzić osłabłych jego zmysłów!

Ale wtedy, kiedy fizyczne i duchowe siły wy-
powiadają posłuszeństwo, dusza częstokroć sama zry-
wa się do lotu. Wuj Tom siedział przy ogniu, jak oszo-
łomiony. Nagle wszystko wokoło niego pobladło, a
przed oczyma stanęło mu widzenie ukoronowanego
cierniem, ubiczowanego i ociekającego krwią Boga-
Człowieka. W kornej czci i podziwie spoglądał Tom na
oblicze, jaśniejące majestatem cierpliwości. Spojrze-
nie tych oczu, zapatrzonych w nieskończoność i odbija-
jących też w sobie nieskończoność Czasu i przestrzeni
przenikało mu do głębi serca, poruszyło duszę do żywe-
go. Padł na kolana i w wielkiem utęsknieniu wyciągnął
ręce do Zbawiciela świata. Wtedy nagle wszystko się
zmieniło: kolące ciernie stały się jaśniejącymi promie-
niami, oblicze pochyliło się ku niemu litośnie, aż go łuna
od niego bijąca oślepiła, a głos przemówił: „Kto świat
przemoże, ten będzie w białe szaty przyodzian, i nie
będzie już imię jego wykreślone z ksiąg żywota“.

Tom nie wiedział, jak długo leżał na ziemi. Kie-
dy przyszedł do siebie, na kominie ogień już wygasł,
a rosa nocna przejęła mu odzież wilgocią. Ale w duszy
jego zapanował spokój, napelniła ją niebiańska ra-

dość. Wszystkie zawiedzione nadzieje, cała ta gorzka nędza nie zdołała go już przygnębić. W tej jednej chwili wyrwał się z mocy ziemskich żądz i złożył wolę swoją w niczem nieograniczonej ofierze samemu Bogu.

Ponury blask dzienny zbudził uśpionych do pracy; ale w gromadzie niewolników, okrytych łachmanami, kostniejących z zimna, był jeden z głową śmiało podniesioną w górę. Silna jego wiara w wiekuistą miłość Bożą, litującą się nad człowiekiem, pozwoliła mu wzbijać się ponad ziemskie padły. Serce jego stało się świątynią Pana, który obecny w niej po wsze czasy królował i odpędzał zgryzotę i zaspakajał pragnienie. Ta ziemská droga, która pozostawiała mu do przebycia, wydawała się tak już niedaleką, a szczęście wiekuiste tak dotykalnie już bliskie. Biedny, opuszczony niewolnik znalazł nareszcie swego Zbawcę. Dziwny spokój, który go ogarniał, widoczny był i w zewnętrznej postaci. Tom wydawał się teraz jakby odmłodzonym, rzeźwym i krzepkim, jak nigdy.

— Co u licha strzeliło znowu do łba temu Tomowi? — odezwał się Legree do Samba. — Dopiero co wyglądał, jakby już gonił resztkami sił, a teraz jest wesoły i zwinny jak łasica.

— Mnie to także wydaje się podejrzane — odpowiedział murzyn — może myśli o ucieczce.

— Niech tylko spróbuje! — roześmiał się Le-gree. — Widzę już jak ucieka przez zarośla, a psy za nim, aż ugrzęźnie w błocie, a wtedy psy go dopadną i osadzą. Pamiętasz, jak łapaliśmy tę czarną Molly? Trudno było oderwać psy; poszarpały ją prawie. Pilnuj go, Sambo; jeżeli Tomowi rzeczywiście strzela coś takiego do głowy, trzeba go mieć na oku.

— Już ja go dopilnuję — powiedział, szczerząc zęby, Sambo.

Podobny był w tej chwili do jednego z tych psów, które rozszarpały czarną Molly.

Dusza Tomasza taka była pełna miłosierdzia i współczucia dla nieszczęśliwych towarzyszy niedoli, że zdawało mu się, że nie powinien tego światła, które oświecało jego samego, chować pod korzec — mówiąc słowami Ewangelji. Gdzie tylko mógł, siał pocieszenie, uśmierzał cierpienia, podawał dłoń pomocną upadłym na duchu. Niełatwo mu było trafić do przygnębionych, przez nędzę zatwardziałych umysłów; ale nie ustawał mimo to w trudzie miłości. Dzień za dniem cierpliwie dźwigał brzemię innych obok swego własnego. Ostatni był do brania, pierwszy do dawania, w każdej chwili gotów podzielić się czemś, oddać coś, aby tylko zrobić jaką drobną przysługę słabym i chorym. Tą drogą doszedł do wielkiego wpływu na czarnych. Gdy się już skończyły pilne roboty, a niedziela napo-

wrót stała się dniem wypoczynku, zbierała się liczna rzesza wokoło Tomasza, a on jej rozповідаł o Jezusie, miłosiernym Zbawicielu i niebieskiej ojczyźnie, którą Jezus zgotował swoim wyznawcom. Nie wolno im było głośno modlić się i śpiewać, gdyż Legree, klnąc i złorzeczając, rozpędzał takie zgromadzenia.

Niejedno ziarno wiary i nadziei wrzucił w stęsknione dusze. Najbardziej pokrzepioną zasadami Biblii i pobożnymi śpiewami, zasłyszczanymi z ust skromnego misjonarza, była biedna mulatka, Lucy. Niejedna jeszcze dusza wykolejona, rozbita, znajdowała ukojenie i balsam na rany.

Dawno już Kassy nosiła się z myślą, że dla jej niesprawiedliwego, okrutnego dręczyciela musi wybić godzina odpłaty i pomsty za cały ten bezwstyd, jakiego dopuścił się w życiu.

Pewnej nocy, gdy wszyscy mieszkający w jednej chacie z Tomem leżeli jeszcze w głębokim śnie, w otworze, który służył za okno, ukazała się nagle twarz Kassy. W milczeniu skinęła tylko na Toma, aby wyszedł do niej.

W migocącym świetle księżyca dostrzegł Tom żar niezwykle w oczach kobiety. Ustąpił z nich wyraz odrętwienia. Położyła rękę na ramieniu starego i pociągnęła go niemal przemocą za sobą.)

— Chodź ze mną — szepiała — jeżeli masz

odwagę, dziś jeszcze będziesz wolny, tej jeszcze nocy będziesz wolny!

— Gdy się Bogu spodoba, otrzymam wolność w czasie, jaki dla mnie oznaczył.

— Nadeszła chwila, Tomie, na którą czekałam od tak dawna. Okrutnik leży zdjęty snem, wlałam mu do wódki opium, nieprędko się obudzi. Gdybym miała więcej narkotyku, nie potrzebowałabym ciebie. Chodź prędko, drzwi od tyłu są otwarte, położyłam przy nich siekierę, drzwi do pokoju nędznika są niezamknięte — poprowadzę cię. Zrobiłabym wszystko sama, ale ramię moje jest za słabe.

— Za żadne skarby świata — rzekł Tom, stając jak wryty, a ona mówiła dalej:

— Gdy uprzątniemy tyrana, biedni niewolnicy zyskają wolność. Schronimy się w bagniska; nie może nam być gorzej, niż jest.

— Nie, — zawołał Tom — złe uczynki nie przynoszą dobrych owoców! Obciąłbym sobie raczej sam ramię, gdyby się miało targnąć na niego!

— Dobrze, ja to zrobię bez ciebie — i odwróciła się od niego.

Wuj Tom zastąpił jej drogę.

— Na rany Zbawiciela, missis, który i dla ciebie także umierał na krzyżu, nie strącaj swej duszy w otchłań wiecznego potępienia! Bóg ściga tak krwa-

we czyny. Ufajmy w Jego łaskę, cierpmy i czekajmy!

— Czekać? Czy nie czekałam, dopóki mi się nie zamąciło w głowie, a serce nie pękło? Godzina pomsty wybiła! Wszystko, co od niego wycierpiałam, wszystkie męczarnie, które zadał uciśnionym, wołają o pomstę, o krew: niech ginie!

Tomasz mocował się z nią, aby przytrzymać jej zaciśniętą pięść.

— Niech Bóg broni,—zawołał—żebyś miała przytłaczać swoją duszę tą winą! Zbawiciel, który swoją drogą krew przelał za zbrodniarzy i modlił się jeszcze za nich, w nieograniczonem swoim miłosierdziu zostawił nam wzór do naśladowania. Od Niego powinniśmy się uczyć kochać swych nieprzyjaciół i przebaczać tym, którzy źle nam czynią. Wtedy walka życia będzie skończona, zwycięstwo odniesione.

Słodycz, żarliwa wiara, z jaką to Tom powiedział, wstrząsnęły do głębi umysłem Kassy. Tom czuł, jak jej opadają ramiona, dziki ogień w jej oczach wygasł; patrzała w ziemię i wielkie łzy stoczyły się po policzkach.

— Mówiłam ci przecież, że mnie ścigają złe duchy — jęknęła.—Od tego czasu, kiedy mi sprzedano dzieci, usiłowałam nieraz się modlić, ale nie mogę, umiem tylko nienawidzić i przeklinać.

— Missis Kassy! — zaczął zwolna Tom po chwili

li milczenia. — Czy nie byłoby na to sposobu, żebyście wy we dwie z Emeliną mogły stąd uciec, nie ściągając na siebie krwi rozlanej?

— Czy odważysz się razem z nami?

— Nie, ja nie. Był czas, kiedy żywiłem takie zamiary, ale teraz pan mi dał pracę około biednych dusz; wytrwam i krzyż mój będę nieść do końca. Ale twoja dusza, Kassy, jest w niebezpieczeństwie. Wydobądź się z tych sidła, uciekaj czemprędzej!

— Innej drogi nie znam, tylko przez grób — rzekła Kassy ponuro. — Dzikie zwierzęta mają swe jaskinie, ptactwo swe gniazda, nawet węże i żmije znajdują schronienie; dla nas tylko jednych niema spokoju, ni wytchnienia. Nawet w bagniskach wytopią nas psy i wyszczerzą gniewnie zęby.

— Pan, który wybawił Daniela z lwiej jaskini, i wywiódł go z ognistego pieca, może także i was wesprzeć swem ramieniem. Spróbujcie tylko, a będę się za was modlić z głębi serca.

Jeszcze nie dokończył, a już nagle rozjaśniło się w duszy Kassy. Błysnęło w niej coś, jakby objawienie z góry. Nieraz całemi godzinami łamała sobie głowę, nad ucieczką, ale wszelkie zamysły musiała porzucać, jako niewykonalne i beznadziejne. Teraz zaświtała jej nagle myśl, tak prosta, tak łatwa do wykonania, że

Kassy nie pojmowała, jak mogła dotychczas nie wpaść na nią.

— Niech się dzieje, co chce — zawołała — spróbuję!

— Pan niech będzie z tobą! — rzekł wuj Tom uroczyście.

ROZDZIAŁ XIV

Na poddaszu domu Legree'go pełnem przędzy i starych rupieci, pod całemi pokładami kurzu, stały jeszcze z czasów poprzednich mieszkańców, rozmaite paki, stare meble i połamane graty, nieprzydatne lub niedające się pomieścić w pokojach na dole. Przez brudne szyby małego okna skąpo tylko przedzierało się światło do ciemnicy, która sprawiała takie wrażenie, jakby w niej po nocy straszyło. Nie brakło też pomiędzy zabobonnymi murzynami podań, potęgujących grozę tego wrażenia. Jedna z niewolnic Legree'go, która ściągnęła na siebie niełaskę pana, trzymana tu była dłuższy czas, jak w więzieniu. Co ją spotkało, o tem szeptali tylko sobie murzyni z tajemniczą trwogą na ucho; wiedzieli też, że pewnego dnia spuszczone z poddasza trupa nieszczęśliwej. Od tego czasu słyszano często łkania i jęki, przekleństwa i złorzeczenia, dochodzące zgóry i mieszkańcy domu lekliwie omi-

jali prowadzące na poddasze schody i sień. Legree wpadał zawsze w wściekłość, ilekroć obili mu się o uszy posłuchy o przygodzie niewolnicy i strachach po jej śmierci; groził zaraz srogimi karami; to też lękano się mówić o czemkolwiek głośniejszej, i z czasem wszystko ucichło. Kassy postanowiła skorzystać teraz z zabobonnego usposobienia Legree'go, aby oswobodzić siebie i towarzyszkę swej niedoli.

Naraz z jej polecenia, a bez wiedzy samego plantatora, powynoszono wszystkie sprzęty z izby, którą zamieszkiwała dotychczas, do dość odległego pokoju. Służba, która zajmowała się przenoszeniem, robiła tem dużo hałasu. Czynność była jeszcze w pełnym biegu, kiedy z pola powrócił Legree; spostrzegł, co się dzieje.

— Hola, Kassy, co to jest? — zawołał.

— Nic, chciałam tylko mieć inny pokój — odpowiedziała mrukliwie kobieta.

— Inny? A na co?

— Chciałabym chociaż raz przespać noc spokojnie.

— A cóż ci teraz przeszkadza?

— Powiem, jeżeli zechcesz wysłuchać...

— No, mów.

— Zapewne niewiele sobie z tego będziesz robić. Nie mogę spać, bo mnie budzi jakieś stękanie, ja-

kieś jęki, skargi, łomot i bicie w podłogę, jakby tam na poddaszu ludzie mocowali się z sobą i walczyli. Łoskot trwa niekiedy całe godziny, od północy do rana.

— Ludzie na poddaszu? ktoby to mógł być?

Na pytanie to Kassy odpowiedziała przeszywającym spojrzeniem czarnych swych oczu. Plantatorowi krew zastygła w żyłach.

— Tak, kto to może być, Szymonie? Jeżeli ty nie wiesz, ja ci nie zdołam odpowiedzieć.

Legree wyrzucił z ust przekleństwo i szpicrutą, którą trzymał w ręku, zamierzył się na kobietę; ale ona odskoczyła na bok i zawołała:

— Spróbuj tylko raz jeden spać w tym pokoju; najlepiej będzie — sam się przekonasz.

Po tych słowach wybiegła z izby i zamknęła za sobą drzwi, swego pokoju. Legree podążył za nią dobił się do drzwi, groził, że je wysadzi. Rozmyślił się jednak, i spokorniały, przejęty już nawet bojaźnią, poszedł do siebie. Kassy wiedziała doskonale, że pierwsza strzała z kołczana trafiła w samo sedno. Odtąd nie zaniedbała niczego, aby skorzystać z pierwszego powodzenia i jeszcze spotęgować wywarte już wrażenie.

Pewnego wieczoru siedział Legree w swym pokoju przed kominkiem, na którym migotał ogień, blaskiem swoim słabo oświetlający pokój. Noc była nie-

spokojna, zawierucha szalała na dworze, po starem domostwie rozlegały się przeraźliwe głosy i dźwięki. Okna skrzypiały, okiennice uderzały o ścianę, wicher wył w kominie i wydmuchiwiał na pokój płomień, dym i popiół, jakgdyby złe duchy, rozpoczynały swe płasy. Legree porobił już rachunki, przeczytał gazety i teraz, siedząc przed kominkiem, wpatrywał się w pełgające płomyki ognia, wsłuchiwał w dochodzące go zewsząd odgłosy. Kassy siedziała w kącie izby. Na stole leżała stara książka; Legree ją pochwycił i zaczął przerzucać. Był to zbiór opowieści o nieludzkich mordach i przygodach ze strachami. Opisy działały silnie na imaginację. Po chwili plantator z przekleństwem odrzucił książkę.

— Głupstwo! — zawołał — wierutne bajdy! Jak można wierzyć w coś podobnego! Niema żadnych duchów, ani strachów!

Śpiesznie wziął cęgi, aby rozgarnąć węgle i podsyć płomień. — Na morzu — pocieszał się — majtkowie chcieli nas również przerazić swemi historykami. Szczury, uwijające się po dolnym pokładzie, wiatr, świszczący pomiędzy linami: były to ich duchy; wiedziałem o tem dobrze.

Kassy nie przestawała wpijać się w niego z ciemnego kąta iskrzącemi swemi oczyma. Wiedziała, że Legree lęka się tego wzroku upiора, to też nie

spuszczała go ani na chwilę z zabobonnego okrutnika.

— Czy ty wierzysz w duchy? — Mów! — odezwał się do niej Legree, aby raz już odpędzić dręczącą zmorę niepokoju.

— Szczury? — zaczęła z ironją Kassy. — Czy szczury mogą przebiegać po schodach, w górę i nadół, chodzić po sali, otwierać zamknięte drzwi, czy mogą przychodzić do łóżka i wyciągać ręce? Czy mogą wyciągać ręce?

Głos jej, gdy mówiła, był grobowy. Legree patrzył na nią martwą żrenicą, zdjęty już dreszczem przestachu, a gdy Kassy zimną swą dłoń dotknęła jego ręki, odskoczył, jakby od widma.

— Co to ma znaczyć? — zawołał — Czy rzeczywiście widziałas coś na poddaszu? Mów!

— Możesz tam iść spać, jeżeli się chcesz przekonać.

Legree mierzył izbę niespokojnymi krokami.

— Muszę się przekonać; dziś jeszcze pójdę tam, tylko wezmę z sobą pistolety.

Tupnął nogą i zaczął kłać.

— Nie klnij — zawołała Kassy. — Nie wiesz, kto w tej chwili słucha twych przekleństw. Nie słyszysz nic?

Legree zerwał się i stanął, nasłuchując. Stary zegar ścienny zaczął bić dwunastą godzinę. Plantator stał bez ruchu, bez jednego drgnienia. Naraz powietrze rozdarły jakieś okropne jęki, stękanie, świst i szelest. Kassy podniosła się, stanęła pode drzwiami, otworzyła je, postąla chwilę i rzekła:

— Chodź tu, Szymonie, i słuchaj.

Dzikie głosy dochodziły z poddasza. Legree pobał jak chusta, kolana się pod nim ugiwały.

— Czas już iść na górę i zbadać wszystko dokładnie — odezwała się Kassy szyderczym tonem, — a nie zapomnij tylko wziąć pistoletów.

— Nie pójdę — odpowiedział Legree i zaklął.

— Idź, niema przecież żadnych duchów — nagrawała się dalej Kassy i pobiegła po krętych schodach na górę.

Słyszał, jak otwierała drzwi. Gwałtowny prąd wiatru wpadł w tej chwili do sieni i zgasił świecę, którą Legree trzymał w ręku. Jednocześnie na górze zaczęły się na nowo jęki, łomotanie, szczęki i świsty. Legree w śmiertelnej trwodze uciekł napowrót do pokoju. Wkrótce wróciła i Kassy. Była blada, jak widmo, ale spokojna, tylko oczy jej paliły się żarem.

— Zamknęłam drzwi na górze — rzekła; — co myślisz o tem wszystkiem, Szymonie?

— Czy ja wiem — odpowiedział opryskliwie — i zresztą co mnie to obchodzi?

— Ja tylko jestem rada, że nie mam już tych strachów nad głową — rzekła przyciszonym głosem.

W ten sposób prowadziła podstępna grę ze swym prześladowcą, aż wreszcie doprowadziła go do tego stanu, że wolalby wetknąć głowę w lwią paszczkę, niż wejść na poddasze.

Przystąpiła wreszcie do wykonania planu ucieczki.. Nocą, gdy wszyscy spali, ostrożnie zносиła na poddasze zapasy żywności, któraby mogła wystarczyć na dłuższy czas, przeniosła też tam wszystkie rzeczy Emeliny i to, czego sama potrzebowała dla siebie. Udało się jej tak nastroić Legree'go, że wziął ją z sobą do najbliższego miasta nad Red-River. W drodze rozglądała się pilnie, a wrodzona spostrzegawczość pozwoliła jej zapamiętać każdy zakręt, zboczenie, każdy nowy kierunek, w którym trzeba było iść, aby jak najprędzej i najbezpieczniej stanąć u celu. Obliczyła też sobie pocichu czas potrzebny na przebycie drogi pieszo.

Przygotowania były już zakończone; stanowcza godzina nadeszła. W ostatnich dniach Kassy była niezwykle uległą na rozkazy Legree'go i napozór panowała między nimi jaknajlepsza zgoda.

Zdarzyło się, że Legree wyjechał w sąsiedztwo.

Już się zmierzchało. Kassy w pokoju Emeliny związywała dwa małe łomoki.

— Wszystko już gotowe — rzekła. — Kładź kapelusz i wyruszamy.

— Chodźmy, — odpowiedziała Emelina — żeby tylko plan się udał przy Boskiej pomocy! Obmyśliłaś go dobrze...

Bez najłżejszego nawet szmeru, w zupełnej ciszy, wymknęły się uciekające kobiety z dworu i pod osłoną zapadających już ciemności, dotarły do osady niewolników. Kiedy przy blasku wschodzącego księżyca znalazły się już u błot, otaczających plantację, usłyszały za sobą głos, który nakazał się im zatrzymać.

Był to sam Legree. Kobiety nie zważały na rozkaz i plantator jął gwałtownie kłać i przeklinać i ścigać uciekające wymysłami. Emelina drżała i nie mogła się utrzymać na nogach.

— Och, Kassy — zawołała, chwytając ją za ramię — nie czuję już sił. Zemdleję....

— To zbierz siły! — wrzasnęła jej nad uchem Kassy i dobywając z za pasa mały sztylet, dodała: — Jeśli nie, to cię zabiję.

Środek ten naprawdę poskutkował. Podążyły da-

rję Zbawiciela, Jego ziemską wędrówkę Jego śmierć, Jego żywe obcowanie ze światem, Jego moc ratującą od zagłady.

Obaj wyrodni ludzie zapłakali.

— O wy, biedne stworzenia — westchnął Tom — cierpienie moje nie poszło na marne, jeśli was doprowadzi do Chrystusa. Panie, Panie, błagam Cię, wybaw ich.

Bóg wysłuchał jego modlitwy.

*

*

*

Na trzeci dzień po kaźni Toma do majątku Legree'go przybył Alwin Shelby. Chciał odkupić swego starego przyjaciela. Niestety, przybył zapóźno.

Tom umarł mu na rękach. Zdążył jeszcze przed śmiercią wypowiedzieć ostatnie polecenie dla Chloe i swych czarnych dzieciaków.

Alwin przy pomocy niewolników Legree'go pochował go uroczyście w lesie.

będą pili wódkę, murzyni pobiegli tłumem ku błotom. Przyłączyła się i służba dworska, w domu nie było wkrótce nikogo. Kassy i Emelina, powróciwszy chyłkiem wkoło błot, niewidziane teraz przez nikogo, tylnymi drzwiami dostały się do domu.

Powietrze rozdzierały jeszcze skłócone wrzaski i nawoływania naganki. Z okna swego pokoju kobiety mogły widzieć, jak tłum z pochodniami, doszedłszy już do błot, porozpraszał się na wszystkie strony.

— Spójrz, jak migają światła! — rzekła Emelina. — Łowy się już zaczęły. Słyszysz psy? Byłybyśmy tam bez ratunku, zgubione. Chodź, trzeba się ukryć, niema już chwili czasu do stracenia.

— Niema się co śpieszyć — odpowiedziała z zimną krwią Kassy — nie tak prędko wrócą z obławy, a do ucieczki brak mi jeszcze najpotrzebniejszej rzeczy.

Z kieszeni ubrania, które Legree w pośpiechu zdjął z siebie i rzucił bezmyślnie, wyjęła Kassy klucz, otworzyła biurko, chwyciła paczkę banknotów i schowała do kieszeni.

— Na to, aby uciec do Północnych Stanów musimy mieć środki — mówiła — bez nich pomarłybyśmy z głodu w bagniskach. Te banknoty zdobyte krwią i potem biednych, zgłodniałych istot, dadzą nam wolność. Teraz chodź na poddasze. Mam tam zapas świec

i książek — na przepędzenie czasu. Nikt się tam wejść nie ośmieli, a gdyby nawet ktoś był dość odważny, będą umiała odegrać rolę stracha.

Na poddaszu ujrzała Ewelina wielką pakę od mebli położoną bokiem, a w niej kilka małych materaców i poduszek. Kassy zapaliła lampę i zawiesiła ją na haku wewnątrz paki.

— Musi to być teraz nasze mieszkanie; radźmy sobie, jak można.

W drugiej pace mieściły się wszelkiego rodzaju zapasy żywności, świece i odzież, którą Kassy powiazała na drogę w małe węzelki. Emelina przyglądała się wszystkiemu uważnie, położyła się na pościeli i uspokojona już nieco, a znużona śpiesznym biegiem z zarośli, zapadła w głęboki sen. Zbudziło ją dopiero głośne wołanie, krzyki, ujadanie psów i tętent kopyt końskich. Zerwała się przestraszona.

— Myśliwi wracają—odezwała się Kassy spokojnie — nie lękaj się. Tutaj przez ten otwór możesz ich wszystkich zobaczyć, bo mają pochodnie. Jakie te konie zabłocone! Znać, że brnęły po bagnach. Obława się nie udała, panie Szymonie, nie umiałeś wytropić zwierzyny i możesz na tę noc iść spokojnie do łóżka.

— Cicho, ani słowa! — błagała cicho Emelina. — Gdyby cię kto posłyszał!

— Toby właśnie nie pomyślał o dostaniu się do

nas — odpowiedziała Kassy — możemy nałasować tyle, ile nam się podoba, zwiększa to tylko nasze bezpieczeństwo.

Tymczasem zwykły spokój ogarnął o północy cały dwór. Legree także zapragnął spoczynku, położył się i obmyślając straszliwą zemstę, zasnął.

ROZDZIAŁ XV

Gdy zaczynała się obława, Legree zapłonął gniewem, że do naganki nie przyłączył się Tomasz. Pomyślał, że musi go złamać, ale ponieważ poznał go już jako człowieka twardego karku, ilekroć chodziło o przyłożenie ręki do jakiegoś niehumanitarnego czynu, postanowił więc wobec pilniejszej na razie sprawy, odłożyć ukrócenie opornego niewolnika, na później. To też Tom pozostał z kilku innymi, którzy szczególnie przywiązali się do niego, aby prosić Boga o pomoc dla uciekających.

Zawiedziony w swych oczekiwaniach, plantator czuł w piersiach żar wściekłości i nienawiści, a gniew jego zwrócił się przeciwko niewolnikowi, który mu od pierwszej chwili nabycia na własność, ciągle stawiał opór i ożywiony był jakimś duchem, nie dającym się pokonać.

— Nienawidzę go, nienawidzę — mruczał, leżąc

już w łóżku i zaciskając pięści. — Czy nie należy do mnie? Czy nie mogę z nim zrobić, co zechcę? Kto mi przeszkodzi?

Nazajutrz po niespokojnej nocy wezwano do pomocy ludzi z najbliższych plantacji; z psami i fuzjami, otoczono błota i rozpoczęto systematyczną obławę.

Towarzysze biesiad i pohulanek Legree'go w sąsiednim mieście wybrali się dla uciechy na polowanie. — Była to dzika, rozpasana tłuszcza! Gospodarz nie szczędził wódki, dostali swoją rację murzyni, gdyż chodziło o to, aby z obławy zrobić wielkie święto. Polowanie przeciągnęło się długo i było bardzo ożywione, ale rzecz prosta, pozostało bez skutku.

— A teraz, Quimbo, ruszaj po Toma i przyrowadź mi go tutaj, co tchu — zawołał Legree, rzucając się na sofę w swoim pokoju. — Czarny łotr wie o wszystkim; ja mu pokażę, co to jest urągać swemu panu.

Sambo i Quimbo znali zamysły swego pana; wiedzieli, że chciał na wypadek wyjazdu zostawić Toma jako nadzorcę gospodarstwa. Odrazu już powzięli ku niemu nienawiść, a teraz tryumfowali, widząc, iż wpadł w niełaskę u Legree'go. Quimbo wypełnił rozkaz z radością. Tom przeczuł, co go czeka, gdyż nie mógł się wyprzeć tego, że wiedział o zamiarze ucieczki i znał obecne miejsce pobytu Kassy i jej

towarzyszeki. Ale jakkolwiek była straszną potęgą tego szalejącego okrutnika, który go teraz ciągnął przed swoje oblicze, czuł się dość silnym, aby wytrwać i postanowił raczej ponieść śmierć, aniżeli zdradzić biedne, opuszczone istoty.

Postawił kosz na ziemi i załamał ręce. „Tyś mnie odkupił, wierny Boże, w ręce Twoje polecam mego ducha” — modlił się, a głos jakiś mówił w nim: — „Nie lękaj się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą”. Dziwna, niepojęta cisza nastąpiła w jego duszy. Czasy poniżenia, poniewierki, niewoli mijały; zbliżała się godzina odkupienia, widział już wiekiastą Ojczyznę.

— Łotrze! — zawołał Legree, na widok jego, pieniać się ze złości — mów natychmiast, co wiesz o tych nikczemnikach, bo czeka cię śmierć!

Tomasz milczał.

— Słyszysz! — ryknął Legree, jak dziki zwierz. — Mów!

— Nie mam nic do powiedzenia, panie — odrzekł wuj Tom, zwolna z naciskiem.

— Jak śmiesz mówić, że nic o nich nie wiesz, ty czarny psie!

Tom nic nie odpowiedział, a po chwili rzekł:

— Nie, panie nie mogę nic powiedzieć, ale — mogę umrzeć!

Legree pochwycił go za ramię i z przerażającym spokojem powiedział:

— Tomaszu, jest to ostatnie moje słowo. Dotychczas urągałeś mi swym uporem, ale teraz ci się to nie uda. Obliczyłem ile mnie co kosztuje i wiem już co mam robić: albo cię ujeżdżę, albo cię — zabiję! Jedno albo drugie. Nie spodziewaj się żadnego miłosierdzia, dopóki nie ulegniesz.

Tom podniósł wzrok na swego pana:

— Gdyby pan był chory lub w ciężkiej potrzebie, albo gdyby konał, oddałbym krew swego serca za to, aby wybawić twoją. Nie bierz na siebie jeszcze tej nowej a wielkiej winy. Mnie wyrządzisz niewielką krzywdę: mój Zbawiciel, który i za mnie także umierał — na krzyżu, przyjmie mnie do siebie; męczarnia moja nie może trwać długo, ale jeżeli pan nie wejdzie w siebie i nie nawróci się, męczarnie pańskie będą trwać bez końca.

Zrobiła się cisza, gdy te niebiańskie słowa zabrzmiały na padole płaczu, ale była to cisza przed burzą. Legree patrzył na Toma, jak skamieniały; był to ostatni moment łaski dla jego zatwardziałego serca. A po tym jednym momencie, który zajaśniał, jak błyskawica, powrócił duch złego; z siedmiokrotną gwałtownością i pianą na ustach od gniewu, który nim,

miotał, Legree jednym uderzeniem pięści powalił Toma na ziemię.

Jeżeli Tom wyszedł zwycięsko z tej straszliwej walki, którą toczył w czasie długiej nocy, tak długiej, jakgdyby się nigdy nie miała skończyć, zawdzięczał to jedynie mocy Tego, który również niegdyś cierpiał poniewierkę, mękę i wszelakie utrapienia, aż wreszcie, to, co miało być dla niego hańbą, zamieniło się w symbol czci, wspaniałego majestatu i wiecznego żywota. Prawda, że i do niego przystępował kusiciel, aby zdradzając niewinnych, odwrócił od samego siebie cierpienia, które mu groziło ohydne okrucieństwo Legree'go; ale dzielne, odważne serce Toma pozostało niewzruszone i uczepiło się silnie wiecznej skały miłości i miłosierdzia. Najsroższe męki nie zdołały z niego nic wydobyć, prócz słów modlitwy i pobożnej ufności.

— Wkrótce wyzionie już ducha — oznajmił Sambo, mimowoli wzruszony cierpliwością ofiary.

— Bij, póki nie ulegnie — wrzeszczał — żadnej łaski, dopóki nie wyzna, co wie.

Tom spojrzał zamglonym już wzrokiem na swego pana.

— Nieszczęsny człowiecze — mówił, jęcząc, — nie możesz mi już nic zaszkodzić. Przebaczam ci z całego serca!

Po tych słowach utracił przytomność.

Legree podszedł, aby mu się przyjrzeć.

— Rzeczywiście już po nim — nareszcie ma knebel na ustach — prawdziwe szczęście!

Ale Tom nie umarł jeszcze. Pobożne jego modlitwy, pojedyncze zdania i słowa, rzućane wśród męczarni — wzruszały nawet zatwardziałyh opryszków — Sambo i Quimbo. Zaledwie Legree się oddalił, odwiązali go od pała, przy którym go dotychczas biczowali, i zaczęli go teraz przywoływać do życia. Głupcy, myśleli, że wyświadczą mu dobrodziejstwo.

— Boję się, czyśmy nie popełnili niegodziwości — zaczął pierwszy Sambo — ale pan za to odpowie, nie my.

Obmyli mu rany, ułożyli go na posłaniu z odpadków bawełny i włali trochę wódki do gardła. Męczennik otworzył oczy.

— Tomie, — odezwał się Quimbo — Obeszliśmy się z tobą bez litości, teraz żalujemy.

— Przebaczam wam, szczerze przebaczam — słabym ledwo dosłyszalnym głosem przemówił Tom.

— Powiedz nam, Tomie, kto to jest ten Jezus, który przez całą noc stał przy tobie z pomocą? — spytał Sambo.

Tom raz jeszcze opowiedział pokrótce histo-

rię Zbawiciela, Jego ziemską wędrówkę i Jego śmierć, Jego żywe obcowanie ze światem, Jego moc ratującą od zagłady.

Obaj wyrodni ludzie zapłakali.

— O wy, biedne stworzenia — westchnął Tom — cierpienie moje nie poszło na marne, jeśli was doprowadzi do Chrystusa. Panie, Panie, błagam Cię, wybaw ich.

Bóg wysłuchał jego modlitwy.



Na trzeci dzień po kaźni Toma do majątku Legree'go przybył Alwin Shelby. Chciał odkupić swego starego przyjaciela. Niestety, przybył zapóźno.

Tom umarł mu na rękach. Zdążył jeszcze przed śmiercią wypowiedzieć ostatnie polecenie dla Chloe i swych czarnych dzieciaków.

Alwin przy pomocy niewolników Legree'go pochował go uroczyście w lesie.

ROZDZIAŁ XVI

Straszliwe wieści obiegały w tym czasie pomiędzy służbą w majątku Legree'go. W ciszy nocnej słyszano odgłos kroków po schodach z poddasza i po sieniach i korytarzach domu. Napróżno zamykano drzwi u głównego wejścia; biała wysoka postać wędrowała swobodnie po wszystkich izbach. Czyby dostawała się tam, obyczajem duchów, przez dziurkę od klucza? A może na jej rozkaz otwierały się drzwi i podwoje? Nikt nie chciał się o tem przekonywać, bo o północy każdy już trwożliwie chyłkiem przekradał się do siebie, zamykał oczy i chował głowę pod kołdrę z obawy ujżenia straszliwego zjawiska. Zrana znajdowano wszystkie drzwi szczelnie pozamykane, a ponieważ nikt dobrze widma nie widział, posłuchy o nim nabierały coraz większej nadzwyczajności.

Doszły one i do uszu Legree'go. Zaniepokoiły go silniej, niż mu wypadało się do tego przyznać. We dnie

nosił głowę do góry, wyżej jeszcze niż zwykle, — i więcej też pił wódki, ale w nocy miewał sny niespokojne i przewracał się często na łożu, nie mogąc zasnąć.

Wieczorem tego dnia, kiedy pochowano Toma, pojechał konno do miasta na jakąś hulatykę. Powrócił późno do domu, zamknął drzwi i położył się spać. Lampa nocna paliła się w głowach jego łóżka, a pistolety leżały obok. Był tak znużony, że zapadł wkrótce w kamienny sen. Nagle stanął przed nim cień, widmo straszliwe. Zdawało mu się, że widzi płachtę śmiertelną swej matki. Oblokła się w nią Kassy, a teraz podniosła się i pokazała zbliżającą się. Słyszał skłócone odgłosy jakichś chrapliwych jęków i stękania; wiedział, że śpi, i chciał się obudzić, aby spłoszyć zmorę. W stanie nawpół nieprzytomnym widział, jak się drzwi otwarły, ale przerażenie odjęło mu władzę w rękach i nogach — ruszyć się nie mógł. Noc była księżycowa, chmurna jednak i mglista. Przesunęło się coś białego, usłyszał szelest i skrzypienie... Widmo stanęło spokojnie u łóżka. Lampa zgasła, zimna dłoń dotknęła jego dłoni i rozległ się grobowy głos: „Chodź, chodź, chodź!“ I kiedy tak leżał, skąpany w śmiertelnym pocie, widmo zniknęło — nie wiedział jak wyskoczył z łóżka — dopadł drzwi: były zamknięte, runął bez zmysłów na ziemię.

Wkrótce gruchnęło po okolicy, że rozchorował się

na śmierć. Niepomiarkowane użycie wódki, któremu się oddał w ostatnich czasach, mogło być najbliższą przyczyną złego, na które nie było lekarza. Nie było wśród służby Legree'go nikogo, ktoby mógł wytrzymać całą okropność tego pasowania się ze śmiercią. Legree wrzeszczał i szalał, rozpowiadał o straszliwych twarzach, widmach i widzeniach. Słuchaczom krew ścinała się w żyłach. Zdawało mu się jeszcze w godzinę śmierci, że widzi przed sobą przerażającą postać i słyszy jej srogie, nieubłagane wezwanie: „Chodź, chodź, chodź!“

ROZDZIAŁ XVII

Po śmierci Legree'go Kassy z Emeliną opuściły nazawsze tajemnicze poddasze.

Dzięki gorliwym poszukiwaniom udało się Kassy odnaleźć zaginioną córkę, która była żoną uczciwego i zdolnego inżyniera i mieszkała w Kanadzie. Wkrótce potem szczęśliwy los zetknął ją również z synem, który wyłamał się z jarzma niewoli przez ucieczkę. Dobrzy ludzie na północy dali mu przytułek i wychowali go na człowieka. Teraz z radosnem sercem wracał pomiędzy swoich, radośnie przez nich przyjęty. Cierpienia biednej Kassy przeminęły. Zmęczony jej i wytrącony z równowagi umysł, pod pobożnym wpływem dzieci, doszedł do prawdziwego spokoju: z niewierzącej stała się chrześcijanką pełną miłości i wiary.

Możemy też powiedzieć coś i o Topsy. Sumienne trudy miss Ofelji pozwoliły jej wychować dziewczę na dobrą kobietę. Gdy doszła do lat, otrzymała chrzest i okazała tyle rozsądku, skrzętnej zapobiegliwości i gorliwości w wierze, że spełniono jej życzenie i pozwolono jej zostać misjonarką.

Alwin Shelby, po powrocie do domu starał się w jaknajłagodniejszy sposób zawiadomić ciotkę Chloe o smutnym losie i śmierci biednego Toma, który dał mu jeszcze ostatnie do niej zlecenia. Dworu Shelbych nie potrzeba było zapędzać do żałoby po wiernym słudze, przyjacielu i towarzyszu. Sama we łzach pani Shelby wlewała pociechę w zranione serce ciotki Chloe i wskazała jej ucieczkę w Pocieszycielu smutnych, kojącym wszelkie bóle. Pamięć Toma była zawsze świętą dla wszystkich, a o jego bohaterskiem cierpieniu nie mógł nikt pomyśleć bez szczerego podziwu i czci. Na tem jednak Alwin nie poprzestał. W miesiąc po powrocie z południa zgromadził wszystkich robotników w wielkiej sali dworu i wszedł pomiędzy nich z pliką papieru w ręku. Były to świadectwa wyzwolenia; poodczytywał je i wręczył zanoszącym się od płaczu murzynom. Wielu cisnęło się do niego i błagało go, aby ich nie odprawiał, że wolą pozwracać listy wolności.

— Kochani przyjaciele, — przemówił wzruszony Alwin — nie potrzebujecie nas opuszczać; potrzebujemy do gospodarstwa, tylu ludzi, co i dawniej, teraz jesteście już wolni; za pracę będę wam dawał wynagrodzenie, o które się umówimy dobrowolnie. Wielkie dobro, jakim jest wolność, macie do zawdzięczenia naszemu dobremu wujowi Tomowi: na jego

grobie powziąłem postanowienie nietrzymania już nigdy niewolników. Pamiętajcie o tem, ilekroć spojrzycie na Chatę wuja Toma. Powinna ona być dla nas widomem upomnieniem, abyśmy w ziemskiej pielgrzymce byli równie prawymi i wolnymi od samolubstwa, jakim on był przez całe życie. Bóg niechaj nam do tego dopomoże!

KONIEC.

